

# TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 117.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 1/2 pól.

Warszawa, 21 grudnia 1861 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

## TREŚĆ NUMERU.

Wincenty Kadłubek (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Aleksander Morsztyn pod Chociąmem (z drzeworytem). — Śmierć Stefana Czarnieckiego (z drzeworytem). — Kościół św. Jura we Lwowie (dokończenie). — Kościół i klasztor ks. dominikanów w Rossienjach na Zmuidzi (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Zadanie konikowe. — Rebus. — Łoboda i Nalewajko, utęp z dziejów, przez Augusta Bielowskiego. — Korrespondencya od redakcyi.

### Wincenty Kadłubek.

Nietylko dzieło biskupa Wincentego, ale i sama jego osoba, długo uczonym była zagadką.

Pierwszy raz kronikę Kadłubka ogłosił drukiem u Jana Szeligi Herbert w Dobromilu r. 1612. Drugie jej wydanie podług Szeligi sporządził uczony baron Huyssen, w Lipsku przy Długoszu r. 1711. Dalej podług rękopisu odkrytego w bibliotece heilsbergkiej biskupów warmińskich, wydano razem Wincentego i Galla w Gdańsku r. 1749, i przedrukował ich znowu Mizler w tomie trzecim swego łacińskiego zbioru pisarzów o historii polskiej w Warszawie (1764 do 1769). Nareszcie piąte i ostatnie dotąd wydanie Wincentego obok z kroniką Dzierzwy, wyszło w r. 1824 podług rękopisów będących własnością Towarzystwa przyjaciół nauk, za staraniem Hipolita Kownackiego.

Przechowało się podanie jeszcze od czasów Jana Dąbrowski, który objaśniał Wincentego w XV wieku, że Mateusz herbu Cholewa biskup krakowski był autorem tej kroniki. Podanie to zachowali dla potomstwa i powagą swoją zatwierdzili Nakielski, Hartknoch, Rzepnicki, Jabłonowski i w końcu Jan Potocki. Uczeń ci jednak wierzyli i drugiemu podaniu, że Wincenty pisał także dzieje na rozkaz Kazmirza Sprawiedliwego; przypuszczali więc, co zresztą było z ich strony bardzo naturalnie, że Mateusz jest co innego, a Wincenty co innego; nabyli z czasem przekonania, że Mateusz utonął w Wincentym, ale że obadwaj spisywali historią narodową. Nie wierzył tylko podaniu; jakoż za jednością i wyłącznym autorstwem Wincentego oświadczył się Braun, surowy i uczony krytyk literatury historycznej polsko-łacińskiej w począt-



BŁOGOSŁAWIONY WINCENTY KADŁUBEK. (Rys. Polkowski, podług obrazu olejnego Lessera).

kach XVIII wieku. Za hasłem Brauna poszedł ks. Prażmowski biskup płocki.

Te zdania rozliczne postanowił sprostować i objaśnić największy uczony polski, Lelewel. Jeszcze był bardzo młodym, kiedy się zajął rozwiązaniem tego pytania. Owocem mozolnych badań jego było dzieło: „Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa,” które wydał r. 1814. Lelewel wyraźnie oddzielił dwa dzieła w jednym i wskazał co w nim jest Mateusza, a co Wincentego. Poszedł za tym zdaniem Ossoliński i Bielowski, który dalej posunął pracę Lelewela, bo kronikę Wincentego rozczłonkował i obrobił. Bielowskiemu winniśmy objaśnienie, że tekst pierwotny Mateusza zatarł się zupełnie w przerobieniu Wincentego; mamy więc dzisiaj treść Mateusza, nie zaś jego styl i maniery. Bielowski wyliczył aż 34 znanych kodeksów rękopiśmiennych Wincentego, a nie mógł wyliczyć ani jednego kodeksu Mateusza.

Mateusz opisywał dzieje dawne w formie dyalogu; Wincenty, mając tę rzecz już prawie gotową, styl Mateusza wygładził i zaokrąglił, dzieje powypępiał tu i owdzie różnemi dodatkami i napisał wytworną przedmowę do samego dzieła. Nie samego Mateusza miał pod ręką, ale inne jeszcze latopisy, jako to katalogi i roczniki kościelne; z nich brał swoje uzupełnienia i dodatki. Wystawia sobie Mateusza w chwili, kiedy na jakiejś uczcie zapytany od Jana o początek narodu polskiego, rozwiązał usta swoje wymowne erudycją niepospolitą; sam zaś staje w postaci chłopięcia na uczcie przytomnego, co ciekawe starych dziejów, a rozmiłowane w ojczystych pamiętkach, spisuje to co słyszał w opowiadaniu Mateusza. W podobny sposób trzy pierwsze księgi dziejów były zebrane więcej nadobnie niż historycznie, więcej kompilatorsko niż krytycznie. Lat przy zdarzeniach nie kładł nigdzie. Tekst Mateusza na r. 1167 przerwany, zaokrąglił własnym dodatkiem o kilku ostatnich latach panowania Bolesława Kędzierzawego. Gdy tym przerabianiem ksiąg Mateuszowych rozwinął swoje własne dziejopisarskie zdol-

ności, Kazimir Sprawiedliwy polecił mu dalej pisać. Wystąpił więc już Wincenty jako pisarz dojrzały, pojmujący wagę swojego przeznaczenia, jako mistrz języka i stylu, w porównaniu do poprzedników. Już w samej formie jego jaką obrał, jest postęp i opowiada nie dyalogiem, ale ciągłą powieścią. Więc tu zbliżony do natury i częstokroć prawdziwie wymowny, chociaż zawsze gadatliwy, sadzi się na wyrażenia i popis z erudycją. Czasami unosi się fantazją i kreśli to zbyt idealny wizerunek cnót Kazimira, to znów obraz nadużył za Mieczysława Starego wygląda na satyrę. Zdumienie się autora na widok spieszącego się rycerstwa ku odsieczy Brześciowi, ten szereg dzid, których mnogość porównywa do lasu, ten błysk orężów, szykowność i ład zbrojnych orszaków, stanowią obrazek jakby wyjęty z powieści historycznej Waltera Scotta.

Taż sama historia i z osobą biskupa Wincentego. Najprzód nie wiadomo jakie jego nazwisko. W dyplomatach piszą go po prostu Vincentius magister, lub „minister ecclesiae cracoviensis episcopus.“ Dopiero w późniejszych wiekach, w kodeksach XV wieku, zjawia się i herb jego, i przydomek; ktoś podania się radził, nie prawdy, i w błąd wprowadził całą potomność. Wincentemu dano tedy za herb Poraj, niewiadomo jak dalece sprawiedliwie, bo chociaż mógł być Wincenty szlachcicem, nie idzie zaraz z tego, żeby z pewnością był już Porajem. Ale stało się i już się nie odstanie: biskup Mateusz zawsze będzie Cholewą, biskup Wincenty zawsze Porajem. Mateusz skończył na tym swoje przygody, inaczej jest z Wincentym. Nazywano go długo najprzód Kadlubkiem, potem dopilnowano się lepiej i spostrzeżono, że to był syn Kadlubka, Kadlubkowicz. Ale ta ostatnia zmiana w nazwisku nie ostała się na długo przed światłem prawdy i krytyki historycznej. Bielowski znalazł niedawno w jednym ze starych katalogów bibliotecznych, że ojcem Wincentego był Bogusław, nie zaś Kadlubek, i dowcipnie bardzo objaśnił powód zjadł wzięło się Wincentemu nazwisko Kadlubka. Wiadomo że na stare lata złożywszy godność biskupią, Wincenty wszedł na mnicha do zakonu cystersów w Jędrzejowie i że pierwotne klasztory polskie przez samych prawie Niemców i Francuzów były osiadłe. Zapisując ci cudzoziemcy do swoich katalogów imię i życiorys Wincentego, przetłumaczyli niezrozumiale dla siebie imię jego ojca, Bogusław, na niemieckie Gottlieb, Gottlob, które też samo znaczyło. Nasz kronikarz więc w spisach tych występował jako Vincentius Gottlobonis, ma się rozumieć filius. W ustach polskich to „Gottlobonis“ przerobiło się w „Katlubonis“ lub „Kadlubonis.“ Po upływie zaś jakiegoś czasu sami Polacy, zapomniawszy o tym jak rzecz się rozwiązała, zaczęli Wincentego nazywać Kadlubowiczem, to jest synem Kadlubka, lub po prostu Kadlubkiem. Zawsze więc wyjdzie na to, że lepiej było i sprawiedliwiej Wincentego nazywać synem Kadlubka, jak Kadlubkiem. Zład Lelewel wykrzykuje w radości: „Wincentego nazwa wybornie jest rozwiązana“ (Polska średnich wieków IV. 476). Wywód Bielowskiego dowcipny podobał się Karolowi Szajnosze, ale nie podobał się Antoniemu Zygmuntowi Helcłowi, który wolał się trzymać starego, i jak dawniej Lelewel, przypuszczał że od jakiejś przywary w ciele mógł w istocie sam Wincenty mieć ludowe, gminne przezwisko. „Nie dopiero przez te zapiski zajaśniał Wincenty u narodu, mówi Helcel, a kto powszechnie słynął, tego po narodowemu, według zwyczaju wielu nazywano, nie zaś z cudzoziemska.“ Z tego powodu wywiązała się nawet polemika pomiędzy Szajnochą a Helclem. Szajnocha drukował w Bibliotece Warszawskiej rozprawkę pod tytułem: „Nawyknienia literackie,“ i dzielnie bronił odkrycia Bielowskiego, które dzisiaj stanowczo przyjmuje nauka, jako fakt pewny, udowodniony. (Bibl. Warsz. II str. 277—283).

Jak się wyjaśniło nazwisko, tak dzisiaj wyjaśnia się i sama historia zapisek Wincentego. W r. 1851 uczony Aleksander Przeździecki, idąc za wskazaniem Pertza, odszukał w cesarskiej bibliotece wiedeńskiej pergaminowy kodeks Wincentego, najdawniejszy ze wszystkich, bo dawniejszy nawet od kodeksu Kuropatnickiego, z którego Kownacki sporządził swoje wydanie. I rękopis Kuropatnickiego i ten wiedeński, który Przeździecki przeważał kodeksem Eugeniuszowskim, z powodu że był własnością sławnego bohatera księcia Eugeniusza sabaudzkiego, obadwa te kodeksy są pergaminowe; innych pergaminowych niema, tylko papierowe. Uwagi krytyczne Przeździeckiego jasno wykazują, że kodeks Eugeniuszowski pisany był przed koronacją Łokietka, przez „Mikołaja kanonika poznańskiego i plebana de Sydze.“ Kodeks to niezmiernie ważny, z wariantami, których nie znano dotąd, i z dopiskami współczesnymi na marginesach. Sam tytuł kodeksu, przy innych wskazówkach, których nie brak, naprowadza Przeździeckiego na myśl, że nie-

prawdą jest wszystko, co dotąd krytycy dziejów naszych pisali o kronice Mateusza Cholewy. Podług niego Wincenty jest sam jedynym wszystkich czterech ksiąg kroniki autorem. Uderzony nowością tego postrzeżenia, Przeździecki pisze: „może rękopis Eugeniuszowski, dokładnie porównany z innymi, powróci Wincentemu synowi Kadlubka całość należnej mu chwały i z historii naszego kronikarstwa wyrzucając jedną niepewną postać, drugą, żywotną jak prawda, żywszemu światłu oświeci.“ (Bibl. Warsz. 1852, str. 336).

Ale niedość przekonać się samemu, potrzeba innych także przekonać. W tym celu p. Przeździecki postanowił wydać w druku rękopis Eugeniuszowski. Zazdrości mu każdy tej pięknej zasługi dla sprawy nauki, dla ojczyzny. Takimi rzeczami budują sobie ludzie pomniki, które żyją wśród następnych pokoleń. Zasluga to znaczna i własna pociecha z owoców gorliwości obywatelskiej musi być wielka. Myśl ta bliska już wcielenia się w czyn zupełny, bo, jak słyszemy, druk kroniki znacznie posunięty w Krakowie. Tekst łaciński już skończony, tłumaczenie polskie teraz się drukuje. Za chwilę będziemy mieli książkę, jeden z dokumentów żywych naszej historii piastowskiej, drogiej, ukochanej. Dotąd jedno tylko mieliśmy tłumaczenie Wincentego polskie, ale bez żadnej wartości naukowej. Książd Franciszek Czajkowski, archidyakon łowicki, popuszczał to co mu się nie zdawało, rozmowy usunął i przekład swój drukował w Łowiczu r. 1803.

Teraz przejdziemy do życiorysu Wincentego.

Urodził się w Polsce, we wsi Karwowie, niedaleko od Opatowa, około r. 1160. Ojciec jego nazywał się Bogusław, matka Bogna, czy Benigna. Imię Bogusława ulubione było w tej rodzinie; brat Wincentego nazywał się także Bogusław i miał dwóch synów, znowu Bogusława i Sulisława. Rodzina to więc rzeczywiście polska.

Wincenty był mistrzem nauk wyzwolonych, zład nazywano go z łacińska „Magister Vincentius.“ Za biskupa krakowskiego Pelki (r. 1186—94) został proboszczem kolegiaty w Sandomierzu. Doznawał względów Kazimira Sprawiedliwego i później syna jego Leszka. W r. 1207 został obrany po Pelce biskupem krakowskim; pierwszy to raz podobno kapituła, nie książę panujący i nie papież, stanowili o wyborze. Potwierdził go w Rzymie Innocenty III, wyswięcił Henryk z Brenu arcybiskup gnieźnieński w r. 1208. Na urzędzie pasterskim słynął bogobojnością. Wykończył kronikę, którą pisał na rozkaz Kazimira Sprawiedliwego.

W r. 1212, kiedy w Krakowie zapusty obchodził z Leszkiem i matką jego Heleną, piorun wpadł w katedrę w czasie okropnej burzy i stopił wszystko w kościele. Biskup wziął to za ostrzeżenie z niebios, a że już dawno tęsknił do zakonnego życia, coraz goręcej krzątać się zaczął około tego, żeby ze światem wziąć rozbrat. Dlatego najprzód rozdawał dobra swoje oczyste na zjeździe w Miecholinie r. 1212, w obec arcybiskupa gnieźnieńskiego Henryka i biskupów plockiego Gedeona i Ogeryusza kruświckiego. Był przy tym i Mszczug książę Pomorza. Klasztorowi sulejowskiemu dał Czyrników i Gojczów, koprzywnickiemu zaś Niekisiałkę i Karwów. Synowcom swoim pod kłutwą nakazał, ażeby nie spierali się nigdy o te dobra z klasztorem. W Sulejowie i w Koprzywnicy byli cystersi, a biskup Wincenty szczególnie miał do nich nabożeństwo.

Niedługo potem książę Leszek Biały zażądał od biskupa ostatniej w życiu posługi. Halicka Ruś była bez księcia narodowego, i wyciągała ręce do Węgier z prośbą, żeby im król Andrzej przysłał syna swego Kolomana. Obiecywała odnowić unię z kościołem rzymskim. Uradował się z tego papież Innocenty III i pozwolił arcybiskupowi strygońskiemu, ażeby Kolomana ukoronował na króla, powagą stolicy apostolskiej. Ale księstwem krakowskiem, którego wpływem wiele się działo na tej Rusi, należał się także głos w i takiej ważnej sprawie. Sam Andrzej to wiedział, i dlatego zgłosił się do Leszka z wnioskami, żeby wydał córkę swoją Salomeę za Kolomana; takim sposobem tron halicki miał być obojga młodych własnością. Musiał przyjąć ofiarę Leszek, bo nie miał siły, żeby się oprzeć takiemu rozporządzeniu losami Halicza. Stało tedy przymerze Węgier i Krakowa względem Rusi. Andrzej wyprawił syna do Halicza, w towarzystwie licznych prałatów i panów węgierskich, Leszek zaś posłał Salomeę pod opieką Wincentego i kanclerza swego Iwona Odrowąża z Końskich. Obadwaj to byli mężowie świętobliwi. Odbyła się koronacja w Haliczu, ale to niepewna, kto przy tym obrzędzie uroczystym kładł Kolomanowi i Salomei koronę na głowę. Mówią spolicie, że byli w Haliczu biskupi węgierscy i lechicki, naturalnie byli i ruscy: zdaje się jednak

iz tutaj jest cokolwiek przesady. Z lechickich mógł być tylko jeden Wincenty, bo w całym państwie lechickim innego biskupa nie było, a wątpimy bardzo, żeby do Halicza jechał jako biskup z inną księżecą dzielnicą, np. ze szląskiej lub z poznańskiej. Mógł Salomei towarzyszyć biskup plocki, to jest z państwa Konrada mazowieckiego, stryja, jeżeli księżecą go posłał. Z władcy ruskich mógł być jeden tylko przemyski i drugi halicki, a trudno przypuszczać, żeby zjechali chełmski i włodzimirski, pasterze z księstwa, którego sojusz polityczny z Haliczem rwał się przez koronacją Kolomanową. Tak więc najwłaściwiej przypuszczać można, że arcybiskup strygoński zjechał do Halicza w towarzystwie kilku biskupów węgierskich. Zapewne ten arcybiskup najprzód ukoronował młodą parę, a potem odbył zaręczyny, bo małżeństwo nastąpić nie mogło, gdy Salomea ledwie miała trzy lata. Jednakże Długosz twierdzi, że Wincenty koronował, a Bzowski w półtora wieku po Długoszu piszący dzieje kościelne, niewiadomo zjadł fakt, który podaje że arcybiskup strygoński ustąpił prawa swego przez grzeszność Wincentemu.

Ale biskup krakowski jeszcze sam własnymi oczyma oglądał w Haliczu koniec tej smutnej uroczystości. Był na Rusi księżem bez dzielnic, Mściśław Mściśławowicz Chrobry, dzielny, waleczny, który wielką okrył się sławą, bo zawsze chętnie tam biegł, gdzie było nieszczęście i potrzeba silnego ramienia. Mściśław, bezinteresowny, porzucił małe swoje księstwo pod Smoleńskiem, to jest zdał je na synów i był opatrnością Rusi; rozstrzygał losy wielkich książąt, drobnym rzeczompospolitym niósł pomoc. Mściśław już był raz na Haliczu, żeby wziąć rządy w imieniu małoletnich książąt synów Romana, który poległ pod Zawichostem; ale ustąpił przed koalicją Krakowa i Węgier. Teraz kiedy Koloman zaczął prześladować obrządek ruski, zjawił się jak bożek w eposie. Ruś zbiegła się pod jego chorągiew, Wincenty z lwonem ocalili się ucieczką. Strach przemógł w nich uczucia powinności, bo obadwa byli w Haliczu dla opieki nad Salomeą. Mściśław, odniosłszy walne zwycięstwo, zdobył stolicę, a Kolomana z Salomeą wysłał na wygnanie do Torzka, to jest na same granice północnej Rusi.

Wincenty, rozdawszy swoje dobra, szafował szczerze i biskupiami dochodami. Powiększył fundusze kapituły krakowskiej i kolegiaty kieleckiej był prawie założycielem, bo uposażył przy niej dziesięć prebend. Dla kościoła krakowskiego nadał jedenaście dziesięcin snopowych i siedm piennych, z różnych dóbr okolic Krakowa; miało to iść na uposażenie kanoników i na utrzymanie wiecznej gorejącej lampy w kościele. Wiele świadczył dla bożogrobców miechowskich i dla cystersów andrzejowskich, dla których kazał w jeden przywilej zebrać wszystkie nadania, a pomnożywszy je darowizną trzech dziesięcin, przywilej generalny jeden zatwierdził. Jako biskup poświęcał nowy kościół św. Floryana w Krakowie.

Otaczał się ludźmi znakomitemi. Wielką była w Chrobacy dawniej rodzina Odrowążów; ale Wincenty, znalazłszy w niej świętobliwych ludzi, wszystko zrobił co mógł, dla podniesienia jej wielkości. Iwona z Końskich, kanclerza Leszkowego, prelaturami w Krakowie wynagrodził; z synowców jego Jacka zrobił kanonikiem krakowskim, a Czesława kustoszem sandomierskim. Iwon wziął po nim katedrę biskupią, Jacek i Czesław zostali świętymi w kościele Bożym.

Nareszcie w r. 1218 spełnił najdroższe marzenia swoje. Złożył dobrowolnie władzę biskupią i wstąpił w Jędrzejowie do cystersów, którym tyle świadczył. Podobno pierwszym był z ziomeków, co wszedł tam pomiędzy same Francuzy i Niemce. Andrzejów był tak bardzo cudzoziemska osadą, że nawet nazywał się nie po polsku, ale z obca, Morimundem. Spowodowały biskupa do tego kroku możność i co szło za tym, obrzydzenie świata, a wreszcie nieukontentowanie duchowieństwa krakowskiego. Biskup, ulegając potrzebom ówczesnym ojczyzny, trapięcej ustawicznie wojnami, przyzwalał chętnie na ciężary, które dotyczyły i księżyich włóści. Były swary i niechęci z tego powodu, i Wincenty ostatecznie sobie życie u władzy obmierzył. Wszakże zresztą i przyjaciel jego Iwon z Końskich, tenże sam miał pociąg do zakonnego życia. Już był wyswięcony na biskupstwo, kiedy ciężko walczyć mu przyszło pomiędzy powinnością a chęcią do spokoju, i potrzeba było aż wdania się stolicy apostolskiej, żeby pozostał przy dostojności pasterskiej.

W cichem ustroniu jędrzejowskim jeszcze pięć lat przeżył w spokojnych praktykach religijnych świętobliwy biskup Wincenty. Umarł 8 marca 1223, pochowany w kościele w środku chóru. Żył lat około 64.

Ale nie skończyło się jeszcze jego życie śmiercią ciała. Nie mówimy tutaj o nieśmiertelności jego w dziejach narodowych, w nauce, w literaturze historycznej;

tę nieśmiertelność ma każdy pisarz, nawet bez talentu, jeżeli stanowi źródło, z którego następne pokolenia uczą się o życiu dawnym naddziadów. Ale biskup Wincenty zyskał jeszcze inną nieśmiertelność: cześć go dzisiaj ludzie w kościołach na ołtarzach.

Lat czterysta z okładem upłynęło już, jak zakończył doczesne życie. Tymczasem sława świętobliwości jego od pokolenia szła do pokolenia, i z każdym dniem wzrastała coraz wśród pobożnego narodu. Było w regułach cystersów, że starać się nie mogą o kanonizację swoich świętobliwości. Ale naród co innego, co innego zakon. Za panowania już Władysława IV, Remigiusz Koniecpolski biskup chełmski, opat jędrzejowski, który wielką miał cześć dla Wincentego, uprosił ówczesnego administratora dyecezy krakowskiej, ks. Piotra Gębickiego, i dnia 19 sierpnia 1633 r. otworzył grób Wincentego w Jędrzejowie. Był przy tej uroczystości Fryderyk Szembek, głośny jezuita, blizki przyjaciel biskupa. Szczątki przelożono w nową trumnę, i marmurowy mu położono nagrobek. Zaraz następnie synod warszawski wniósł sprawę o kanonizację Wincentego r. 1634. Poparł to natychmiast i sejm, który jeszcze tego roku się zebrał. Ale wiek cały upłynął, a sprawa ani na krok jeden naprzód nie postąpiła. Za Augusta III rozpoczął nowe zabiegi u stolicy apostolskiej ks. Rogaliński, opat bledzewski. W bezkrólewie zapadł wyrok Klemensa XIV, dnia 11 lutego 1764 r. Wincenty ogłoszony został błogosławionym, pierwszy z cystersów; dla niego papież i regułę zakonną złamał. Uroczystość jego oznaczono na drugą niedzielę miesiąca października. W naszych czasach część relikwii św. Wincentego przeniesiono z Jędrzejowa do Sandomierza, dnia 12 października 1845, a Wincenty Hipolit Gawarecki życie błogosławionego opisał. (Pamiętnik religijno-moralny T. X str. 289 i nast.)

Głosili o Wincentym późniejsi, (są to uwagi Bielowskiego, które tutaj dajemy na zakończenie artykułu), że był mężem najuczciwszym w świecie „vir literatissimus in toto mundo.“ Przemagał w nim przecieź pociąg do poezji i krasomówstwa, zaprawiał się do tego po części na wzorach starożytnych, a więcej na dawniejszych i ówczesnych pisarzach kościelnych. Wprawę pisania leoninami posunął do wysokiego stopnia. Przypisują mu i żywot św. Stanisława, pisany rytmicznie. Lubił Wincenty najwięcej Cyncerona, naśladował go, a zdaje się, że znał i te pisma znakomitego mówcy, których dzisiaj nie znaleźć. W kronice są ślady, że Wincenty przed nią pisał wiele, ale jak sam mówi, były to raczej swobodne z muzami igraszki. Biorąc się do ważniejszej pracy, obliczał siły swoje i wzdragał się na samo jej wspomnienie, tém bardziej, gdy miał odczytywać te swoje zapiski przed poważnym zgromadzeniem senatu. Jednakże poszedł za popędem własnego serca i rozkazem przyjaciela, Kaźmirza Sprawiedliwego, do którego się odzywa w ciągu dzieła dwukrotnie z pewną poufałością.

Kronika Wincentego miała nadzwyczajne powodzenie. Zapominano przy niej o wszystkich zasługach dawniejszych. Prawda to jedyna, że Wincenty powtórzył niemal wszystkich innych poprzedników, i że całej kompilacji dał powierzchowność jednolitą, co przyczyniało się do jej wziętości, ale i świętobliwe życie kronikarza i dostojność jaką piastował za życia, wpływały wiele na sławę dzieła. Stało się, że zajęła ta kronika pierwsze miejsce w narodzie i zagłuszyła sławą swoją, przez duchowieństwo silnie popieraną, wszystkie kroniki do tyła, że ją nietylko za najlepszą, ale niekiedy i za najstarszą udawano. (Wstęp krytyczny do dzieł Polski, str. 125).

Julian Bartoszewicz.

## Kronika tygodniowa.

Nadchodzi najpiękniejszy dzień w chrześcijaństwie, najwdzięczniejsza uroczystość kościoła.

Ponad Betleem jasna gwiazdka roztacza świetne promienie; nadziemską harmonia rozlewa się po wyżynach obłocznych; w ubożuchnej stajence, w lichym żłobku na sianku, spoczywa nowonarodzony Zbawiciel świata; czuwa nad nim Paniątka Marya z św. Józefem, a dwoje bydlatek tchem swoim nieokryte członki jego ogrzewa.

Anioł Boży budzi ze snu biednych pastuszków i najlichszym z ludzi najprzód tę wiesć radosną zwiastuje. Przełknięci znakami na niebie, biegną do szopty i pierwsi oddają cześć Dzieciątku, a w górę słychać głosy duchów niebieskich, wołających: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Blednieje i w posadach wstrząsa się świat pogań-

ski, przestraszone Bogi ustępują z Olimpu, chwieja się gmachy Cezarów, a małuczcy ocierają czoła ze znoju i podnoszą nadzieją płonący wzrok w niebo.

Chrystus się rodzi!

Oderwijmy wzrok od teraźniejszych chwil i rzucmy nim w przeszłość naszą.

Na całej polskiej ziemi, za pierwszym błysnięciem gwiazdki, jakby nadziemską mocą podnoszą się wesołe pieśni o Bożem narodzeniu. Wszystkich serca przenika szczera, niewinna radość; płonąć czystą wiarą, z dziecinnym weselem oddają się uroczystemu obchodowi. Najdostojniejszy mąż i ubogi kміeć na wsi łąmia się chlebem poświęconym z rodziną i czeladką; wszystkie głowy pochylają się przed Dzieciątkiem w żłobie, wszystkie usta brzmiają jego chwale, a pod złocistym dachem, jak pod najuboższą strzechą, słyhać pieśni jedną:

Anioł pasterzom mówił...

Czytelnicy moi, czy pamiętacie tę chwilę, gdy w latach dziecinnych, otoczeni drogiemi rodzicami, najmilszymi braćmi i lubą rodziną, drzącym głosem powtarzaliście za starszemi słowa tej pieśni? Czytelnicy moi, czy pamiętacie tę chwilę, gdy błogosławieni przez ojca i matkę, łąmaliście opłatek z ich sługami? Czy brzmi jeszcze w uchu waszemu nuta tej wzniosłej a tak prostej melodyi?

Dzisiaj inne czasy.

Postęp wyobrażeń wypchnął już w części dawne obrzędy i zwyczaje ojców naszych. Namietności, niepokoje, troski, zgiełk ziemski zapelnily serca ludzkie, i nie pozostawily w nich zakątka na przyjęcie małego Chrystusa.

Obchodzimy wigilią Bożego Narodzenia dla zwykłej uczty, dla uraczenia zaproszonych przyjaciół i zadziwienia ich swym dostakiem; lecz owa serdeczna radość, tkliwie napełniająca dusze naszych przodków, zniknęła bezpowrotnie może; ucichły pieśni, czeladka przy wspólnym nie zasiada stole.

Napróżno do świata wyziębłego przemawiają słowa pieśni:

W żłobie leży,  
Któż pobieży  
Kolendować małemu  
Jezusowi Chrystusowi,  
Dzisiaj nam zstanemu?

Ucho ogłuszone brzękiem kruszcu, nie słyszy tych słów; „serca zepsutego“ namietnościami wzruszyć ono nie zdoła.

Nie jesteśmy modnemi nabożniami, kryjącemi pod pozorem bogobojności i skromną powierzchownością, serca wyziębłe, próżne, dumne i przewrotne; ale wdychamy za czystą wiarą ojców naszych, która im w każdej przeciwności ratunkiem była; kochamy te piękne obrzędy, co wdzięcznym urokiem otaczały ich życie. Oni nam zostawili gorące wspomnienia lat dziecinnych, słodki powab domowego ogniska. Cóż my naszym dzieciom pozostawimy?

Wiara, miłość domowej strzechy, cnoty obywatelskie, prawosć serca, wytrwałość w przeciwnościach, czerstwość duszy i ciała, oto spuścizna którą nam przodkowie zostawili pragnęli; myśmy z niej zatrzymali tylko usterki ich, od których nikt w świecie nie jest wolnym, a resztę po większej części zmarowali.

Żargon francuzki, umiejętność grania komedyi w salonie i na świecie, zamiłowanie zbytku, żądza bogactw, nieposzanowanie dla siwizny, lekceważenie czasu i obowiązków, oto dziedzictwo które zbieramy dla naszych dzieci.

Może ktoś nam zarzuci przesadę, może powie że czarnych tylko dobieramy barw do odmalowania naszego społeczeństwa; lecz zwróćmy oko w bliźką przeszłość, a ona sama te zarzuty odeprze.

Niedosyć mieć chęć, niedosyć piękniemi przemawiać słowy i uwielbiać w sobie na wysięgi brzask enót zacinających się pojawiać. To jeszcze mało; za głęboka przepaść roztwarta pod naszymi nogami, aby ją przez krótką chwilę czasu można zapelnić.

Ale ów brzask niechaj w pełną zajaśnieje gwiazdę, niech zabłyśnie ona na niebie naszym jak betleemska gwiazdka, niech jej promienie zapowiedzą że umarł w nas świat stary, pogański, napełniony prochem i zgnilizną, a odradza się nowy, potężny i wytrwały jak ten, który zwiastowała chwila narodzin Chrystusowych.

A ty, rodząca się Dzieciątko, pobłogosław chęciom poprawy i odrodzenia się w pracy i cnocie!

Obyśmy powrócili do prostoty pocziwej i gorącej wiary ojców naszych; oby znów płynęła w niebiosach z pod strzech domowych pieśni o Narodzeniu Bożem; oby znów wierna czeladź przy wspólnym stole z gospodarzem, witała jasność pierwszej gwiazdeczki, a po-

tomkowie nasi z rozrzwiniem wspominali sobie dziecinne lata i drogie chwile spędzone przy ognisku domowym.

Panuje zwyczaj w Warszawie, w Krakowskim i Galicyi wcale nieznanym, obdarowywania dzieci na święta kolendami z różnych zabawek złożonemi. Zwyczaj ten pochodzi z Niemiec, czego dowodzi nietylko rozpowszechnienie go po całej Germanii, ale nadto cudzoziemska nazwa *Heile Chrysta*, jaką niepotrzebnie rodzice polskim dzieciom powtarzają, a co raz na zawsze należałoby usunąć.

Na ten dzień cukiernicy przysposabiają swoje słodkie podarki (nawiasem mówiąc, nadzwyczaj dzieciom niezdrowe), fabrykanci zabawek zaopatrują się w przeróżne bawidelka, a i księgarze nie pozostają w tyle. Ostatni rodzaj podarków, najwłaściwszy dla dzieci starszych, nie powinien być pomijanym.

Główną rolę odgrywają tu abecadniki. Z pomiędzy innych zasługują na uwagę abecadnik z historii polskiej, wydany przez M. Glücksberga, abecadnik malowniczy Gebethnera i Wolfa, oraz obszerny i bardzo dobrze ułożony abecadnik Szyllera, wydany nakładem ostatniej księgarni.

Nie pozostało w tyle i wydawnictwo A. Nowoleckiego. Właśnie mamy przed oczyma abecadnik ilustrowany historyczny polski, wydany nakładem tej księgarni, a tém odznaczający się, iż wydrukowano i wylitografowano go na płótnie.

Pan Nowolecki pierwszy spróbował użycia płótna na dzieła elementarne dla dzieci. Nakład taki nierównie drożej wypada, lecz trwałością swą sownie opłaca koszt na kupno wyłożony. Porównywaliśmy abecadnik p. Nowoleckiego z publikacjami angielskimi tego rodzaju, i bez najmniejszej stronności przyznać możemy, że pod względem staranności druku, nad którym widać nakładca czuwał troskliwie, tym razem odnieśliśmy górę nad wydaniami angielskimi.

Abecadnik ten wydany jest na perkalu krajowym, z fabryki Grohmana, co także jest pewną zaletą. Zdobilo go 12 litografij przeszło 40 drzeworytów. Wszystko to odbite bardzo starannie, a pod drzeworytami napotyamy ważniejsze wypadki z dziejów, skreślone wdzięcznym piórem p. Maryi Ilnickiej.

O treści abecadnika szczegółowo rozpisywać się nie będziemy, gdyż to należy do osobnych sprawozdańców; zastanowiliśmy się tylko nieco dłużej nad książeczką pana Nowoleckiego, jako nad kosztownym wydawnictwem, wymagającym niemałej rzeczywiście odwagi.

Anglicy, bardzo praktyczni w każdym kroku, pierwszy spróbowali używać płótna do druku książek. Ograniczają się oni na wydawaniu książek pięciu arkuszy nie przynoszących, gdyż arkusz płótna wypada z zaprawą potrzebną po złp. 1 gr. 6, a tylko dla wielkich bibliotek odbijają niektóre dzieła na tym materiale. Książka taka jest niepożyta i trwałością przewyższa pergamin. Oczekujemy niecierpliwie wypadku przedsiębiorstwa p. Nowoleckiego, ten bowiem rozstrzygnie czy się utrzyma u nas drukowanie na perkalu, co by znacznie nawet wpłynąć mogło na udoskonalenie tego wyrobu w fabrykach krajowych.

Nie możemy także pominąć ślicznego wydania *Nowego Testamentu*, obejmującego 66 wyborowych starytów, ze stosownym tekstem, z biblii ks. Wujka wyjętym.

Oddawna utyskiwano u nas na niedbale wykonywane rycin przedstawiających przedmioty święte. Zgroza niejedno pobożne serce napełniała na widok potwornych bazgranin licznie u nas zagęszczonych. Jedną z szanownych dam polskich, hrabianka T., sama biegle władająca pędzlem, zajęła się myślą podniesienia tego rodzaju wydawnictwa. Przebiegłszy sama najznakomitsze galerie Europy, wybierała odpowiednie sceny z życia Chrystusowego, najlepszych mistrzów, i poleciła kopiowanie ich na stali znamienitym rytownikom w Paryżu.

Tym sposobem każda z 66 rycinek przedstawia małe arcydzieło sztuki, a ponieważ nakładczyni szło głównie o upowszechnienie wzorowych obrazków świętych w naszym kraju, dozwoliła nietylko sprzedawać je po cenie nader taniej, stosunkowo do kosztów nakładu, to jest po złp. 13 gr. 10 za cały zbiór, lecz nadto każdy obrazek pojedynczo po gr. 6, wraz z tekstem.

Oto piękny podarek dla dzieci włościańskich; kilkadziesiąt ich można tanim kosztem obdzielić na gwiazdkę i upowszechniając pomiędzy ludem czyste słowo Boże, ukazać mu także śliczność form mistrzowskiego rysunku.

Szkoda tylko że popelniono tu jeden błąd ważny, to jest pomieszczenie podpisów francuzkich obok polskich pod obrazkami, co bardzo razi. Przypisujemy to jednak raczej rytownikowi - Francuzowi, który nie

mógł zapewne pojąć, jak może się obejść publikacja paryzka, bez francuzkiego podpisu.

Wspomniawszy dawniej jeszcze o ściennym kalendarzu Fajansa, odznaczającym się pięknie narysowaną postacią dziewczki wiejskiej, nie możemy pominąć także kalendarza Dzwonkowskiego, którego pomysł, układ i druk tegoroczny o wiele dawniejsze przewyższają. W tych dniach wychodzi również Noworocznik dla Polek (rok drugi). Dobór artykułów prozą i poezją, ozdobionych rycinami, czynią ten kalendarzyk wdzięcznym podarkiem na gwiazdkę.

Na zakończenie dzisiejszego sprawozdania, niech nam będzie wolno wyrazić smutek jaki przejął kraj cały, na wieść o skonie ś. p. Tomasza hr. Potockiego, znanego w piśmiennictwie pod przybranym Krzyżtopora nazwiskiem.

Raz jeszcze wyrażamy serdeczny żal nad stratą, którą w tej ważnej chwili cały kraj w osobie ś. p. Tomasza hr. Potockiego niepowetowanie został dotkniętym.

### Aleksander Morsztyn

pod Chocimiem 1621 r.

Drzeworyt przedstawia scenę z poematu Wacława Potockiego, p. n. *Wojna Chocimska*. (\*)

Aleksander Morsztyn w tej pamiętnej wyprawie, kiedy Jan Karol Chodkiewicz wypuścił z obozu chocimskiego ochotników na harce, co były przygrzywką wielkiej i stanowczej bitwy, stanął w ich gronie. Mąż doświadczony w boju, wzięty przez Turków do nie-

trzywszy murzę krymskiego, jak na czele zwinnych swych jeźdźców przesuwa, puszcza się za nim lotem strzały, chwytą go przygotowanym arkanem za szyję, zciąga z konia i przywłóczy pod nogi hetmana Chodkiewicza.

Pętlica zwolniła na arkanie, a odurzony niespodzianem pochwytem murza, powstał na nogi. Zaprowadzony do obozu i stawiony przed hetmanami, zdał sprawę o sile Ottomanów i zawziętości sułtana, który pewny był że jednym zapędem zgniecie rycerskie hufce polskie i w namiocie Chodkiewicza odpocznie jako zwycięzca.

Braniec ten odesłany został do zamku chocimskiego, a Morsztyn otrzymał chlubne podziękowanie od hetmana Chodkiewicza, za pochwylenie znakomitego murzy krymskiego.



ALEKSANDER MORSZTYN POD CHOCIMIEM. (Pomysł i rysunek Kossaka).

Szczegóły żywota i prace publiczne tego zacnego męża podały już gazety nasze, powtarzać ich więc nie będziemy, bo nie w pobieżnym przeglądzie miejsce dla ludzi tak wysokiej zasługi jak zmarły, który niejednokrotnie w chwilach ważniejszych okazał obywatelską swą zacność. Życie jego całe było potężnym zaprzeczeniem niewytrawnych zdań, które usiłują wmówić we wszystkich, że u nas wyżyny społeczeństwa są nieudolne i o nic nie troszczące się, jedno o swoje przywileje. Nigdy schlebiać się nie godzi niczemu, co nie pochodzi z osobistych zasługi człowieka; zawsze jednak walczyć należy w obronie każdego, co pracą, czynem, talentem i nauką służył swój ojczyźnie, nie patrząc wcale na to, jakie mu miejsce los w społeczeństwie wyznaczył.

woli na polach cecorskich, gdzie sędziwy hetman Żółkiewski poległ, rok w niewoli przesiedziawszy w Jedykule, wyostał się z niej szczęśliwie i stanął pod chorągwią, gdy rzeczpospolita zagrożona, wezwała rycerstwo swoje na obronę granic swych i krzyża świętego.

Na dzielnym i sprawnym koniu wyjeżdża w pole. Tatarzy cną naszych harcówników napadają. Morsztyn śledzi uważnie pomiędzy niemi starszyznę, a upa-

(\*) Poemat ten Stanisław Przyłęcki wydał nakładem księcia Henryka Lubomirskiego we Lwowie, r. 1850, i za autora podał Andrzeja Lipskiego. Karol Szajnocha gruntownym rozbiorem pokazał, że prawdziwym twórcą tego arcydzieła dawniej literatury naszej jest Wacław Potocki, znany z wielu dzieł innych poeta.

### ŚMIERĆ STEFANA CZARNIECKIEGO.

Kompozycja historyczna p. J. Suchodolskiego, którą w drzeworycie zamieszczamy, jakkolwiek dawno już znana nietylko z oryginału, ale z kilku różnej wartości kopij, jednakże ze względu na treść swoją i wyraziste oddanie faktu, zasługuje na szersze jeszcze rozpowszechnienie.

Obraz przedstawia chwilę, gdy wódz złamany cierpieniem i wiekiem, czując się blizkim skonu, złożyć się kazał w ubogiej chacie miasteczka Sokółki na Rusi. W samym prawie środku obrazu, pod ścianą nędznej izby, ubraną naprędce w godła rycerskie i godła wiary, stoi łożo bohatera. Dopelniał on snąc przed chwilą obowiązków religijnych, bo nieopodal od łoża

kłęczący kapłan, co go w daleką podróż przygotował, stoją zasmuceni towarzysze broni i wieśniacy. Teraz Czarniecki podniósł się na łożu, aby ostatniem spożyciem objąć wszystko co na ziemi kochał, co na ziemi zostawia. Na rozkaz wodza giermek przyprowadził mu konia ulubionego: on go wiódł tyle razy do zwycięstw i chwały; to też wódz patrzy nań tkliwie, i w tém pożegnaniu się z koniem, żegna bez goryczy wszystkie ziemskie tryumfy, a wierne zwierzę opiece ludzkiej powierza.

Scena ta zajmuje przód obrazu; w głębi zaś, jakby dla wypełnienia całości, ukazują się we drzwiach posłowie królewscy, niosąc spóźnione oznaki dostojności ziemskiej, której już wódz na dobro kraju nie użyje.<sup>(1)</sup> Zjawienie się tego poselstwa, nie odejmując wielkości śmierci, podnosi dramatyczność sceny i przywodzi na myśl patrzącemu pamiętne słowa wodza: „Zawszem się tego spodziewałem, że mi król da buławę natenczas, kiedy ja ustane wojować. Gdyby łaskawy Bóg pozwolił życia i zdrowia, okazałbym wdzięczność j. k. mości za świadczone łaskę, aniby król żałował tego że mi dał buławę; jeśli zaś przyjdzie umrzeć, przy-

A grzmią mōdzierze, grają haubice,  
Huczą Stawiszczan bluznierstwa.

Daremnie.... wszystko pierzcha w zawody,  
Przy wodzu tylko garść wiernych:  
Murza Tatarzyn, Sobieski młody  
I kilka znaków pancernych.

Żelazną ręką tarł hetman<sup>(2)</sup> czoło,  
Przegryzał język i wargi,  
Oczyrna wzgardy błyskał w około,  
Jakaś obelgi i skargi.

(J. B. Zaleski).

Widząc bezskuteczność kilkotygodniowych usiłowań, wódz polski uległ radzie starszyny i postanowił miasto ogłodzić. Odciawszy oblężeniom wszelki dowóz żywności, obrzucał ich granatami i kulami ognistemi, nie narażając próżno wojska nacieraniem na wały, bronione z rozpaczliwą odwagą. W połowie wreszcie października Stawiszczanie, znęcani trzymiesięcznym obsaczeniem, oświadczyli gotowość do układów i podali miasto 20 października.

man złożyć na nosze, i puszczono się w drogę do Lwowa.

Była to niedziela, dnia 15 lutego. Tylko chęć ocalenia rannego ośmielała do podjęcia podróży w porę świąteczną. Ale już za miasteczkiem okazało się niepodobieństwo dalszego pochodu zasypaną śniegami drogą, wśród zwyczajnych o tej porze zamieci. Każdy krok naprzód narażał chorego na zabójcze uderzenia wichrów ze śniegiem, a on sam coraz węższy na siłach. Każdej chwili mógł oddać ducha, skonać wśród burzy zimowej w polu, niepokieszony błogosławieństwem ostatniem. Przyszło rozstać się z myślą dowiezienia umierającego do Lwowa, i przynajmniej dachu do skonania mu pragnąc, wrócić nazad pod pierwszą lepszą strzechę miasteczka.

Ta ostatnia próba podróży tak dalece wysiliła chorego, iż za każdym krokiem oczekiwano w istocie jego zgaśnięcia. Owszem nie było już czasu szukać najdogodniejszego schronienia, lecz musiano w najbliższe pospieszać progi. Jakaś uboga chata miasteczka otworzyła się ostatnim przytulkiem bohaterowi. Tylko kilka osób z orszaku mogło zmieścić się w niej



ŚMIERĆ STEFANA CZARNIECKIEGO. (Rysował Polkowski, podług fotografii z obrazu Suchodolskiego).

najmniej na nagrobku napiszą, zem był hetmanem.“

Do powyższego objaśnienia treści obrazu p. Suchodolskiego, dodajemy kilka szczegółów historycznych.

Wiadomo że podczas wyprawy ukraińskiej w roku 1664, (ostatniej której dowodził dzielny wojewoda kijowski), zaraz po zdobyciu Steblowa, bohater nasz z Janem Sobieskim, wówczas chorążym koronnym, ruszył na Stawiszczę, (których bronił głośny w dziejach kozackich Daszko Dejneka), zakławszy się „iż nie wprzód jeść będzie albo zaśnie, aż tego gniazda swywoły dobedzie.“

Czarniecki stanął pod bramami tego miasta d. 14 lipca. Silna jednak załoga, złożona z 16,000 Kozaków, zacięty stawiła opór. W kilkakrotnie ponawianych szturmach większa część piechoty polskiej zginęła, jada zaś wzbraniała się odbywać służbę piechotną.

Chrobry Czarniecki nasroza lice,  
Zgrzyta na popłoch żołnierstwa;

(1) Jest to mały anachronizm; wojewoda bowiem otrzymał przywilej królewski, nadający mu buławę polną koronną, na 10 lub 12 dni przed śmiercią.

Wkrótce potem wojewoda, czy skutkiem otrzymanej pod Stawiszczami rany, czy z innych powodów, ciężko zaniemógł. Złożonego chorobą wieziono z początku na saniach; następnie, gdy niebezpieczeństwo wzrastało, kazał się nieść na noszach, w kierunku przez Brody ku Lwowowi.

W drodze już goniec od Jana Kazmirza doręczył mu pismo królewskie, z przywilejem na buławę polną koronną po Jerzym Lubomirskim, noszącym datę 2 stycznia 1665 roku (Metr. kor. ks. 203 str. 355). Wtedy to posiwiwały bohater wyrzekł (podług Kochowskiego) słowa powyżej przytoczone.

Ostatnie chwile Czarnieckiego tak opisuje znakomity nasz historyk K. Szajnocha, w tomie III swoich „Szkiców historycznych.“

„O milę za Brodami, na dawnym trakcie lwowskim, leży ubogie miasteczko Sokółówka. Nie było potrzeby ani możności zatrzymywać się z chorym w biędnej mieścinie; lubo więc choroba coraz widoczniejszém groziła niebezpieczeństwem, kazał się het-

przy hetmanie, reszta miała stanąć w domkach poblizkich. Tamże i ulubionemu rumakowi hetmańskiemu tymczasowe gotowano schronienie. Ale nawet w przedchwilii zgonu nie zdołał hetman rozstać się z wiernym towarzyszem tyłu wypraw zwycięskich, i kazawszy przywołać masztalera, zalecił mu najtroskliwszą pamięć o koniu. Wprowadzono go do tej samej chaty co pana, i ustawiono w sieni przy żłobie.

A wierny tarant, jakby rozumiał co się dzieje, widocznymi znakami żalu odwzajemniał przychylność pańską. Gdy chorego w głównej komorze chaty złożono, koń „nie chciał nic jeść ani pić, nogami w ziemię bijąc wzdychał i jęczał, a na wchodzących ogładał się, jakby stworzenie rozumne.“

W świetlicy tymczasem uroczysta odbywała się scena. Czując się blizkim chwili ostatniej, zawezwał hetman księdza Agapita Dąbrowskiego, swego od lat wielu kapelana. Przystąpił duchowny towarzysz najodleglejszych wypraw hetmańskich i wysłuchał grzechów chorego. Po spowiedzi polepszyło się hetmanowi. Jeszcze do dnia jutrzejszego snuć się miała słaba nitka żywota. Zdala od świata i rodziny, zdala od pola sławy i zwycięskich sztandarów, wśród modłów

(2) Poeta zmiął się tu z prawdą dziejową, bo Czarniecki jeszcze wtedy nie otrzymał mniejszej buławy.

i cichego oczekiwania kilku towarzyszy rycerskich, mienią bohaterowi ostatnia smutna noc w Sokołowie.

Nazajutrz w poniedziałek odprawił ksiądz Agapit mszę ranną i dał wiatyk choremu. Tyleż jedynie było mu potrzeba jeszcze na ziemi. Wkrótce po przyjęciu komunii skonał. Za hetmanem zaś poszedł niebawem i wierny rumak. Przeżył śmierć pańską i „upadłszy stękając, zdechł, nie chcąc innego cierpieć jeżdżca.“

Osieroconemu dworowi hetmańskiemu pozostało tylko odwiedzić zwłoki do Czarney. Tam to, według powszechnego zwyczaju, miały one spocząć w grobach rodzinnych. Najpierw jednak wyprawiono gońca do króla z wiadomością o śmierci, a w odpowiedzi na to przybył rozkaz królewski, aby ciało hetmańskie, dla uczczenia go wielką uroczystością pogrzebną, sprowadzone zostało do Warszawy.

Nastąpiło to około 8 marca 1665 roku. Wyszło pod tą datą do gazety francuskiej w Paryżu doniesienie z Warszawy, w którym czytamy: „Przywieziono tu zwłoki generała Czarnieckiego, aby je pogrzebać z wszelkimi zaszczytami, jakie przynależą mężowi, który tak wielkie usługi oddał temu królestwu. Nie naznaczono mu jeszcze następcy w dowództwie nad armią ukraińską...“

Dopiero po ceremonii pogrzebowej w stolicy odwiedziono zwłoki do Czarney. Spuszczono tam do kruchty, czekały godnego siebie nagrobka. Ale lata minęły i rozsypany się popioły w trumnie, a nagrobek nie stanął. Za wymówkę posłużyć miało, że tuż po śmierci hetmańskiej wszczął się kilkunastoletni przeciąg niespokojów domowych i wojen zagranicznych, zaprzętnęły się umysły sprawą Lubomirskiego, abdykacyja Jana Kazimierza, rozruchami za czasów króla Michała, straszne wreszcie wojny tureckimi. Ale dostateczną to w rzeczy niewinność?

Osobliwsza nieżyczliwość losów odmówiła Czarnieckiemu nawet tej pośmiertnej pociechy, aby na jego grobie czytano, iż był hetmanem. W wieku panegiryków nie uczczono żadnym słowem pośmiertnym wybawiciela ojczyzny. Nie przyszedł podobnie do skutku pomnik sejmowi czteroletniemu.<sup>(3)</sup>

Miałoby prawdziwym być przeczenie naszego hetmana o pokoleniach następnych, gdy nie narzekał że nie miał syna, bo zapewne byłby niegodnym krwi rodzicielskiej? „Nie miał syna, córki dwie spłodził“—kończy o nim Kochowski—„lecz nie uskarżał się na to że mu Pan Bóg synem nie błogosławił, bo pospolicie wielkich i zacnych kawalerów sławie odrodkami bywają. I rzymski Scypio i Jerzy Kastrjota, obaj waleczni wodzowie, gnuśnych zostawili potomków...“

## KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO JURA WE LWOWIE.

(Dokończenie.)

Książ Jan Włodzimierz, jako był wedle kronikarza książ bardzo mądry i „filosof“, który nawet sam księgi pisywał, przejrzał chciwie i chytre zamiary Lwa, a gdy władca przemyski przyjechał, kazał go przypuścić do swego łoża i oznajmić z jakim przybywa poselstwem. Władca, pokłoniwszy się i oświadczywszy jaki żal czuje książ halicki nad cierpieniami „księcia-filosofa“, wystąpił w końcu ze skromnym życzeniem Lwa, ażeby mu Jan Włodzimierz Brześcia odstąpił. Na to odpowiedział mądry książ:

A cóż dał Lew na święce, aby je zapalić na grobie księcia Wasyla, ojca mojego a jego stryja? Znam ja chytrą waszą. Nie dam Brześcia, nie dam.

I odprawił władcy przemyskiego z czcią, ale bez Brześcia.

To się działo w r. 1287. Niema tedy wątpliwości, że ciało Daniela znajdowało się wtedy w Chelmie; nie mogło więc być przeniesione w r. 1282 do Lwowa z Halicza, a cała parada pogrzebowa opisana w „Księdze Dziejów“ powstała znać w wyobraźni wielebnych braci św. jurskiego monasteru.

Podobną baśnią jest, że książ Lew, postrzygłszy się, do lwowskiego monasteru wstąpił. Jest bowiem wiadomość społeczna, że książ Lew był przy końcu życia czcicielem monasteru w Spasie i tam pochowany.

Opisawszy z wielkim namaszczeniem pobożną pa-

<sup>(3)</sup> Podczas sejmów czteroletnich był zamiar wystawienia Stefanowi Czarnieckiemu na środku Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie pomnika, z następującym napisem: „Stany Rzeczypospolitej skonfederowanej, zgromadzone 1788 roku, temu co nigdy o Rzeczypospolitej nie zwątpił, co o królu swoim nie zapomniał, co w najgorszych Rzeczypospolitej czasach, gdy wszystko stracone zdawało się, mężnie i radząco i czyniąc, Rzeczypospolitą zbawił, króla swego tronowi wiernością nieprzełamaną i mężstwem niezwykłym zabezpieczył, wzorowi Polaków, Stefanowi Czarnieckiemu.“ Zamiar ten jednak, jak wiele innych, pozostał niewykonany.

radę przeniesienia zwłok księcia czyli króla Daniela z Halicza do Lwowa, co nigdy miejsca nie miało, czyni Księga Dziejów następujący wielce dowcipny wniosek: „Zkąd jasna rzecz, że ten monaster św. Jerzego był wspaniały i dobrami i potrzebami wszelkimi zgromadzeniu zakonnemu przynależnymi opatrzony, ponieważ od tak możnych książąt ruskich był fundowany i w nim ciż książęta chcieli mieć odpoczynek.“

Oprócz tych domysłów „Księgi Dziejów“, niema nigdzie wzmianki o świetności monasteru sto-jurskiego za czasów księży ruskich. Jedynym pomnikiem jaki pozostał z czasu właśnie gdy Ruś podkarpacka przeszła na nowo pod panowanie polskie, jest dzwonek z napisem staroruskim, świadczącym że był ulany za księcia Dymitra w r. 1344 według Księgi Dziejów, w r. 1349 zaś według twierdzenia Józefa Szumlańskiego biskupa lwowskiego. Niewiadomo jaki to był książę Dymitr. A Bielowski przypisuje tę niezgodność z chronologią niepewnej rachubie lat w chronologii ruskiej.

W czasie zajęcia Rusi przez Kazimierza W., miał monaster sto-jurski uleść zniszczeniu przez ogień, a zgromadzone tam pospólstwo, stawiające Polakom opór, miało zostać w pień wycięte. Wiść tę podaje pierwszy i jedyny Lew Szeptycki biskup, w opisie eparchii lwowskiej wydanym w r. 1760. Szeptycki jednakże nie dowierza sam tej wieści i powołuje się tylko na podanie gminne. „Księga Dziejów“ nie pomija żadnej sposobności, z którejby mogła korzystać dla wystawienia krzywd i szkód jakich doznał sto-jurski monaster, a jednak z owego czasu donosi tylko że: „ciężka klęska nie dopuściła zostawić potomnym czasem, co się wtedy monasterowi św. Jerzego i zakonnikom jego przytrafiło; jednak tak z powszechnych ruiny ruskiego kraju, miast, a osobliwie Lwowa, stołecznego Rusi miasta, jakoteż i z tego, że metropolita aż do Kijowa ująć musiał“ (o czym żaden inny historyk nie wie, tem bardziej że metropolitów wtedy we Lwowie nie było), „a drudzy mnisi w rozsypkę poszli, poznać się może, że i ten monaster zabrowany i spustoszony być musiał.“ Wniosek ten jest również śmiały a mylny, jak inny o zabraniu skarba *książęcego* ze Lwowa na bogactwo sto-jurskiego monasteru. „Ponieważ, twierdzi Księga Dziejów, między zabraniem skarbami były krzyże złote z częstkami drzewa krzyża świętego, które król Kazimierz W. zapewne nie z pałacu lub skarbu książęcego (któ bowiem tak święte rzeczy i czcigodne w domu i zamknięciuby wazył się trzymać) zabrał, więc monaster musiał wielkie bogactwa posiadać.“

Pewnej wiadomości o monasterze niema żadnej aż do r. 1509. Żadna więc znać nie zaśła zmiana godna uwagi w jego stanie. To tylko donoszą zgodnie kronikarze Lwowa, że po zburzeniu drewnianej cerkwi, rozpoczęto staraniem igumena Euftymiusza w r. 1363 nową, kamienną cerkiew. Wystawił ją Włoch budowniczy, imieniem Dare albo Dore, ten sam który budował kościół ormiański. Zaczął pracę swoją w r. 1363, w tym samym czasie, gdy oprócz ormiańskiego kościoła i łacińskiej katedry zaczęto budować we Lwowie. Cerkiew ukończono w r. 1437 za rządów igumena Ławrencjusza. Stała ona niewzruszona przez lat 306, aż do r. 1743, w którym ją rozwalono, aby na jej miejscu postawić dzisiejszy kościół.

Księga Dziejów podnosi pod r. 1437 jako rzecz godną uwagi, z powodu wyboru Izydora Bułgara na metropolitę, który był unitą, że „Ruś, a zatem i monaster lwowski, był w jedności tych czasów, kiedy nie innego, ale tylko jednoś trzymającego z Rzymem obrali metropolitę.“

Od połowy XIV wieku poczyna się we Lwowie murowanie kościołów, a gdy dopiero Kazimierz W. przeniósł Lwów na to miejsce gdzie dziś stoi, więc niewątpliwie jest całe dzisiejsze miasto dziełem czasów pokazmirzowskich. Co do społecznych stosunków, znajdujemy od tego czasu dopiero ślady rządu regularnego w mieście; następuje nadanie rozlicznych przywilejów, których wiele przytoczył szanowny Zubrzycki, dla oświetlenia polskich rządów, ale wiele przemilczył przez niewiadomość. Co do handlu, zaczęło miasto już za Kazimierza W., a jeszcze bardziej za panującego tu po nim Władysława Opolczyka, wzrastać, i stało się wkrótce jednym z najznakomitszych miast handlowych w Polsce, utrzymującym komunikację między Czarnym morzem a Bałtykiem.

Toż i kościołów bogactwa wzmagaly się pośród bogobojnego narodu, a św. Jur nabierał coraz większego znaczenia.

W r. 1509 poddany został monaster sto-jurski, wraz z całym duchowieństwem ruskim, pod jurysdykcją arcybiskupa obrz. łac. bernardyna Wilczka, a to z powodu, jak podaje Księga Dziejów, „że duchowieństwo w dycezyi żyjąc katolickiej, pod której jurysdykcją lwowskie i kamienieckie były kraje, bez obecności

było metropolity i biskupa, któryby święcił w tych krajach kapłanów, którzy dla święcenia aż za granicę ojczyzny udawać się musieli.“

*Opactwo i biskupstwo.*

W r. 1522 został Jakub czyli Joachim Gdeszycki przełożonym monasteru, otrzymawszy od króla Zygmunta już w r. 1520 nominacją na opata i namiestnika metropolity kijowskiego i halickiego w eparchii lwowskiej. Namiestnikami metropolitów bywali igumenowie sto-jurscy, wedle twierdzenia ks. Petraszewicza, już dawniej, ale opatami i archimandrytami, (tak dowodzi znowu Księga Dziejów) nie bywali oni przedtem nigdy rzeczywistymi, tylko jeżeli im ten tytuł dawano, to „honorifice.“ Joachim Gdeszycki był tedy pierwszym rzeczywistym opatem i archimandrytą sto-jurskim. Wedle téż samej Księgi Dziejów bywali odtąd dopiero przełożeni monasteru sto-jurskiego stale namiestnikami metropolitów.

A zatem dopiero za polskich czasów i przez polskich królów nabył św. Jur znaczenia w hierarchii kościelnej. Znaczenie to wzrastało.

W r. 1539 podaje szlachta ruskiego województwa wraz z mieszczanami lwowskimi, prośbę do króla, wstawiając się za Makarym Tuczapskim, „by jemu król jmc (Zygmunt I) dał przywilej na biskupstwo halickie,“ (ubolewając nad nieporządkiem w metropolii przez nieobecność metropolity wprowadzonym).

„A tak, pisze Księga Dziejów, ten Tuczapski w rządzie swoje objął monaster św. Jerzego, lecz nie zaraz był jeszcze biskupem, gdyż metropolita wzbraiał się święcić go na biskupstwo. Aż dopiero wtedy, gdy szlachta ruska pisała za nim i sam Makary z Nowogródka pisząc do metropolity, dał za siebie submissją, że on tylko jeden będzie biskupem *nadwornym* metropolity i jego imieniem, a nie swoim, sprawy do biskupa należące sądzić ma, skłonił się na te pobudki metropolita i Makarego na biskupstwo poświęcił roku 1548.“

Igumenowie monasteru postępowali odtąd na biskupów, sami zaś bywali namiestnikami biskupów. Tak po Makarego Tuczapskiego postąpieniu na biskupstwo halickie, został w r. 1549 igumenem Jan Ostalowski Łopatka. Tegoż samego zaś Jana Ostalowskiego Łopatkę mianował, według Księgi Dziejów, król Zygmunt August „na episkopstwo lwowskie, jako wycytać można z aktów grodzkich lwowskich, w których instalacya tego Jana Ostalowskiego Łopatki zapisana jest.“ Było to, jak mówi Księga Dziejów, około r. 1560. Pod rokiem zaś 1569 zapisuje też sama Księga: „Po wstąpieniu na godność biskupską Jana Ostalowskiego Łopatki, uczyniony przełożonym monasteru lwowskiego św. Jerzego roku 1569 Jakub imieniem, który także był namiestnikiem lwowskim.“ i t. d.

Aż do r. 1655 wymienia Księga Dziejów tylko szereg imion przełożonych monasteru i ubolewa nad tem, że o nich „znakomitszej pamiętki ciężkie rewolucye państwa, czyli opieszaly monasterskich notaryuszów starunek nie zostawily.“ Tymczasem p. Zubrzycki z aktów podobno miejskich zacerpnął wiadomość, że w r. 1569 Jana Ostalowskiego Łopatkę, mianowanego przez arcybiskupa obrz. łac. Słomowskiego biskupem, wypędził Hryńko, alias Gedeon Balaban, z monasteru św. Jura. Fakt ten nie podlega wątpliwości. Bywało przecież praktykowaną rzeczą, że nie tylko we Lwowie, ale i w innych miejscach i krajach biskupowie napadali zbrojnie na siebie, lub bywali przez świeckich ludzi ze stolic swych spędzani. Ale okoliczność że Jan Łopatka był mianowany przez arcybiskupa obrz. łac. biskupem, podlega wielkiej wątpliwości. Podobniejsza jest wiadomość Księgi Dziejów, że Ostalowski był mianowanym przez króla.

Od r. 1655 do 1685 niejasne są dzieje sto-jurskiego monasteru. W r. 1685 wiadomo że biskupem lwowskim halickim i Kamieńca Podolskiego był Józef Szumlański, który łożył wiele starania o uporządkowanie majątku klasztornego, gdy tymczasem, jak się sam Szumlański w zapisie gruntu Czolkańszczyzny wyraża, „per injuriam temporum et incuriam tuteznych przeszłych episkopów, niemało dóbr i procentów tego miejsca do jurysdykcji miasta Lwowa odpadło etc.“

Księga Dziejów, wyjaśniając przyczynę tego, mówi: „Ani się temu kto dziwować może, że imcie episkopowie jak chcieli, po te czasy używali dóbr monasterskich, ponieważ generalnie wtedy zakonnicy, według dawnych praw czyli zwyczajów, każdy do swego episkopa należeli i w monasterach episkopi igumenów stanowili.“

Za czasów Józefa Szumlańskiego biskupa i Dyonizego Aleksandrowicza igumena, którego tenże biskup z trembowelskiego monasteru do Lwowa przeniósł, został także w r. 1673 obraz Matki Boskiej cudowny przeniesiony z Trembowli do sto-jurskiego monasteru.

Obraz Matki Boskiej trembowelskiej jest, obok cudowności swojej, godnym uwagi pomnikiem dziejowym, pamiątką waleczności ks. Józefa Szumlańskiego. Przy obrazie tym znajdują się dwie wotywnie tabliczki srebrne z napisami, a przed nimi wiszą na łańcuskach dwie kule w srebro oprawne. Na jednej tabliczce czytamy:

„Turczyn jeden podczas bitwy pod Żurawnem strzelił tą kulą do osoby imci Józefa Szumlańskiego, a nie potrafiwszy samego, śpiewaczka za nim w głowę, na imię Piotrkę, tą kulą postrzelił, od której i umarł, a było to w dzień św. Michała A. D. 1676, przy bytności króla imci, tamże pod Żurawnem będącego na tej wojnie. Dla pamiątki tedy wiecznej, na obrazie Najświętszej Panny namiestnej u św. Jura w katedrze lwowskiej ruskiej zawieszona.“

Napis na drugiej tabliczce opiewa:

„Ta kula w walnej bitwie króla imci polskiego Jana III pod Wiedniem z wezyrem i Turkami, postrzeliła imci ks. Josepha Szumlańskiego w lewe ramię, episkopa lwowskiego, administratora metropolii kijowskiej, który był praesens w tej bitwie przy boku króla jegomości, w niedzielę w południe, to jest dnia 12 septembra Anno Domini 1680 (\*), a dla wiecznej pamięci, na obraz Najświętszej Panny trembowelskiej w lwowskiej św. Jura katedrze, dnia 28 Sbris anni ejusdem zawieszona.“

W ogóle Józef Szumlański należał do owęj licznej drużyny bohaterów, która duchem spokrewniona z bohaterskim królem, nie odstępowała go w najświetniejszych chwilach jego życia pełnego poświęceń.

Józef Szumlański chciał także podnieść wpływ św. Jura na wykształcenie religijne, co dotychczas zostawało w zupełnym zaniedbaniu; chciał założyć drukarnię cerkiewno-słowiańską i ruską przy św. Jurze. Piękny ten jego zamiar rozbił się o chciwość bractwa stauropigialnego, które będąc w posiadaniu jedynej na całą Ruś drukarni i ciągnąc z niej znakomite zyski, nieogłędne na pożytek moralny wynikający z pomnożenia drukarni i druków, wszelkich używało środków, aby nie dać żadnej innej drukarni powstać obok swojej. Bractwo stauropigialne protestowało przeciw założeniu drukarni sto-jurskiej, zasłaniając się przywilejami. Ale biskup odpowiedział bractwu, że książek jego nie dopuści w swojej dyecezyi, że przeto on w sto-jurskiej drukarni oo. bazylianów każe drukować książki dla unitów.

Jak wielkie musiały być zyski stauropigii z drukarni i o ile ważniejszą musiała być dla niej sprawa pieniężna niż wiara, poznać można ztąd, że dlatego aby nie stracić na drukarni, całe bractwo stauropigialne przeszło w r. 1708 na unię. W skutek tego polecił biskup wydać bractwu stauropigialnemu druki i resztę nierozprzedanych książek wydrukowanych u św. Jura, za opłaceniem 2000 złp. Za to otrzymało bractwo pisemne zaręczenie, że ani bazylianie św. Jura, ani biskup drukarni z uszczerbkiem bractwa więcej zakładać nie będą.

Józef Szumlański, pomnożywszy znacznie dotacyą sto-jurskiego monasteru zarówno jak biskupstwa, ufundował kilka innych monasterów w dyecezyi lwowskiej, uczynił w końcu r. 1707 testament bardzo obszerny, w którym liczne dla wszystkich swojej dyecezyi monasterów zawierają się zapisy. Umarł w r. 1708.

Odtąd nie odegrał monaster sto-jurski żadnej ważnej roli w dziejach naszej krainy. Dotacya jego ciągle się jednak wzmagała, to przez kupna, to przez zapisy duchownych i szlachty.

W r. 1744 dnia 4 września położył Atanazy Szeptycki metropolita fundamenta dzisiejszego kościoła, rozwalivszy dawną cerkiew. Dokończył budowlę kościoła wraz z pałacem biskupim Lew Szeptycki biskup lwowski, a później także metropolita całej Rusi. Terazniejszy kościół zwrócony jest wielkim ołtarzem ku zachodowi, a przodem ku miastu, chociaż fundament położono, wedle dawnego greckiego zwyczaju, w przeciwnym kierunku, tak iż wielki ołtarz miał być ku wschodowi zwrócony. Nawet po tej stronie, gdzie dziś jest wielki ołtarz, a gdzie wedle dawnego planu miały być wielkie drzwi, znajdują się fundamenta na dwie wieże, których wybudowania zaniechano ze zmianą planu. Kościół ten nie jest dotychczas poświęcony, tylko błogosławiony. Budowa kościoła jest, można śmiało powiedzieć, najszlachetniejszą i najkosztowniejszą ze wszystkich kościołów lwowskich. Rotunda wsparta na filarach, ozdobiona rzezbami, pokryta kopułą, panuje okazale nad miastem; do kościoła samego prowadzi po schodach wzniesienie ozdobione posągami; nade drzwiami występuje z frontu ganek kamienny, rzeźbiarską przyozdobiony robotą; wewnątrz uroczko oświetlone oknami rotundy,

zdobią także posagi, między którymi postępuje się ku wielkiemu ołtarzowi, nader pięknego dłuta. Obok kościoła wmurowano w miejsce dawnego monasteru, nowy, okazały budynek, w którym dziś mieszczą się kanonicy, kancelarya konsystorza i dom rekolekty dla księży. Naprzeciwko kościoła stoi pałac biskupi, tak pięknie wewnątrz urządzone, że gdy cesarze austriacy odwiedzali Lwów po raz pierwszy, nie znalezione w całym mieście posowniejszej dla nich rezydencji, nad pałac św. Jura.

K. W.

#### KOŚCIÓŁ I KLASZTOR KSIĘŻY DOMINIKANÓW W ROSSIENIACH NA ŻMUJDZI.

Wiadomo z dziejów krajowych, że Witold i Jagiełło, wnet po zaprowadzeniu chrześcijaństwa na Żmudzi 1413 r., fundowali w tej krainie w ciągu lat kilku dwanaście kościołów parafialnych, a w tej liczbie kościół parafialny rossieński otrzymał fundacyą 1421 r. W następnym czasie, a mianowicie 1645 r., dwaj bracia rodzeni Stankiewiczowie, Adam cywun twerski i Jan Mikołaj cywun cyragolski, pisarz w. ks. lit., wprowadzili do Rossien na miejsce probostwa księży dominikanów, a wzniosłszy dla nich kościół i klasztor, otrzymali na tę fundacyą zatwierdzenie najprzód od Władysława IV 1649 r., następnie od sejmu 1659 r. Wnet potem sami zakonnicy rozpoczęli murować kościół i klasztor, które, chociaż 1729 r. uległy w części zniszczeniu od pioruna, jednak staraniem parafian otrzymały nową, daleko okazalszą erekcyą. Wspaniały widok tej instytucji duchownej, wzniesionej na wyniosłym wzgórzu panującym nad całym miastem, wielką jest ozdobą Rossien, szczególnie od wjazdu niemoksztyńskiego, od którego prosta i długa na wprost ulica, wiedzie podróżnego jakby wprost ku tej świątyni. Kościół i klasztor obwiedzione są murem, po za obrębem którego z jednej strony obszerny ogród owocowy, z drugiej zaś staw utworzony z rzeczki Rossienki płynącej mimo ogrodu, stanowią dalszą ozdobę i kościoła i klasztoru. Wnętrze kościoła niema w sobie nic zajmującego; nie zdobi ścian jego nawet żadna historyczna pamiątka, tylko zwłoki fundatorów leżą w podziemiu kościelnym, lecz i te nie zostały uczczone ani przez familią Stankiewiczów, ani przez zakonników żadnym nagrobkiem.

Rossienie są odwieczną osadą żmudzka, opanowaną w IX wieku przez Skandynawów, którzy, jak wiadomo, całą krainę leżącą przy ujściu Niemna do morza bałtyckiego, zwaną Rusnią i zamieszkałą przez Russów litewskiego plemienia, zajęli pod władzę swoją i ztąd łącznie z Rusneńczykami rozchodzili się na podbijanie okolic nietylko sąsiedniej Żmudzi, lecz Litwy i Słowiańszczyzny. Rossienie wzięły nazwę od rzeczki Rossienki płynącej przez miasto, zwaną w najdawniejszych miejscowych dokumentach Ross. Najpierwszą wzmiankę o nich znajdujemy w dziejach krajowych pod r. 1253, gdy Mendog król Litwy, zostawszy chrześcijaninem, uposażał biskupa litewskiego R. 1314 Krzyżacy pruscy spustoszyli po raz pierwszy rossieńskie okolice, a od r. 1322 do r. 1377 wpadając tą stroną do Żmudzi na jej spustoszenie, nietylko osadę rossieńską, lecz i okolice jej bezustannie wyludniali, uprowadzając z sobą do Prus w wielkiej masie obojętnej pleci lud bezbronny.

R. 1580 Stefan Batory nakazał szlachcie księstwa żmudzkiego zjechać się do Rossien, dla wybrania posłów na sejm warszawski, a 1585 r. tenże król przywilejem 16 lutego datowanym, na prośbę panów żmudzkich dozwolił im wykupić Rossienie, pod zastawem za 12 tysięcy kop groszy litewskich u Maciejowej Pietkiewiczowej cześnikowej litewskiej będącej. Następnie Zygmunt August przeznaczył je dla zjazdów na sejmiki, na sądy ziemskie i grodzkie, oraz na archiwum dla całej Żmudzi; plac zaś na dom sądowy ówczesnemu generalnemu staroście żmudzkiemu, podczaszemu litewskiemu Janowi Kiszce, rozkazał niezwłocznie odznaczyć i samą budowlę kosztem rządu wybudować. Odtąd Rossienie stały się głównym miastem księstwa żmudzkiego, a chociaż 1764 roku, w celu przedsięwzięcia wymiaru sprawiedliwości, ustanowiono dla Żmudzi drugie sądy w Telszach, zawsze jednak Rossienie zostały stolicą generalnego starosty. Z ustanowieniem trybunału dla Litwy w 1584 roku, miejsce dla trybunału żmudzkiego naznaczone było w Rossieniach; jednakże postanowienie to, jak wiadomo, nie weszło w wykonanie, bo skutkiem zabiegów Radziwiłłowskich, Żmudź przyłączoną została do trybunału litewskiego.

Dziś Rossienie, jako miasto powiatowe gubernii kowieńskiej, są porządnie zabudowane; oprócz kościoła księży dominikanów, mają kościół ewangelicki, cerkiew wschodniego wyznania, dwie synagogi wyznania mojżeszowego, szkołę szlachecką i szkołę elemen-

tarną rządową dla dzieci wyznania mojżeszowego. Oprócz tego są tu zwyczajne jurydykcyje powiatowe, więzienie, ekspedycya pocztowa, szpital miejski, dwie apteki, dom przytułku i t. d. Mieszkańców liczą Rossienie 9010 obojętnej płci, z których połowa jest Żydów.

Herbem miasta, nadanym 1792 r. przywilejem Stanisława Augusta, jest w polu białym rys w czwał biegnący, z rozwartą paszczą.

J. B.

## KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

### MALARSTWO.

Kwestya jak zachęcać sztukę, obiega dziś całą Europę: potworzone już oddawna w innych krajach towarzystwa zachęły, bezpłatne szkoły, stypendya, rozpowszechniły pomiędzy publicznością utwory sztuki, a wydawane dzieła i broszury, wyobrażenia o nich. W skutek takiego rozpowszechnienia dzieł i pojęć artystycznych, kształcą się zdania, wzrasta zajęcie; dziś już nietylko członkowie akademij, komitety, ale i akcyonaryusze pytają o owoce swych usiłowań, a idąc za popędem czasu, żądają aby procent był odpowiednim wydanęj summie, to jest aby w miarę nakładowego kapitału, wzrastała sztuka. Że jednak rzecz się ma inaczej, że pomimo ułatwionego wykształcenia, tak przez bezpłatną naukę, jako i możność spieniężenia utworów i nabycia wziętości i rozgłosu, mnożą się mierności, a sztuka nie wzrasta,—ludzie uczeni rzucili się ze wszech stron na zaradzenie złemu, i wyszukując przyczyn, dochodzą niekiedy do najdziwniejszych wniosków.

Między innymi p. L. Viardot wydał w Paryżu broszurę, której treść znajdujemy w Bibliotece War. z miesiąca paźdz. r. b. Broszura ta ma za tytuł: Comment il faut encourager les arts, i jako dzieło autora mającego za sobą powagę nauki, nabyło wkrótce rozgłosu i zaszczytnie tu i owdzie wspomniane zostało. Zobaczymy więc w jaki też sposób p. Viardot uważa tę kwestyą rozstrzyga.

Autor za pierwszą zasadę stawia, iż nie trzeba mięszczać w naturze człowieka poczucia *dobrego*, z poczuciem *piękną*; że pierwsze jest instynktem odróżniania złego od dobrego, sprawiedliwego od niesprawiedliwego, jest sumieniem, rzeczą potrzebną każdemu; drugie zaś jest pewną delikatnością sensacyi i sądu, gustem zwaną, rzeczą potrzebną tylko niektórym, a niewchodzącą bynajmniej w poczet *obowiązków obywatelskich*.

P. Viardot utrzymuje dalej, że poczucie *dobrego*, jest głównym żywiołem naszej natury, a poczucie *piękną*, pracowitym i wolnym nabytkiem inteligencyi; że w dziedzinie dobrego jest tylko jedna powaga—sumienie; w dziedzinie zaś piękna powaga jest gust, uczucie zbiorowe, które autor zowie: *partie exquisite du bon sens*.

Przebiegając olbrzymie i sumienne poszukiwania istoty piękna, trudno nie dostrzedz, że ci co rzecz tę badali, pomimo najrozmaitszych zasad jakich za punkt wyjścia użyli, przyszli zawsze do uznania, że rdzeniem i podwaliną piękna jest *duch ludzki*.

Hutcheson, który pierwszy w czasach nowożytnych podniósł kwestyą piękna, w dziele pod tytułem: *Badania początku wyobrażeń naszych o piękności i enocie*, wysłóm w r. 1725, już twierdzi, że idea piękna jest beśpośrednia, powszechna, że każdy człowiek ma ją w umyśle swoim. Co się tyczy początku idei piękna, Hutcheson zbija opinie wywodzące go ze zwyczaju, wychowania i sensacyi. Zdolność z której idea piękna w człowieku się wyradza, jest wedle niego zmysłem wewnętrznym, różnym od innych, a mianowicie różnym od zmysłów zewnętrznych. Ale Hutcheson jest filozofem szkockim, może więc jako taki nie obowiązuje pana Viardot; zobaczymy zatem, czy w samej nawet Francyi, w owym od nas odległym czasie, kwestya piękna wyżej już pojmovaną nie była.

Ojciec Andrzej jezuita, uczeń Kartezjusza, w ośmiu swoich rozprawach dla akademii w Caen, której był członkiem, idąc w ślady św. Augustyna, twierdzi: iż istnieje piękno rdzenne, od żadnej ustawy niezależne, dalej: że jest piękno naturalne i niezależne od wyobrażeń ludzkich, nakoniec: że jest pewne piękno utworu ludzkiego, już do pewnego stopnia dowolne, czyli że jest piękno samo w sobie, piękno naturalne i piękno w myśli ludzkiej, co wszystko razem autor sprowadza do piękności którą święty Augustyn określił w tych słowach: *wszelkiej piękności formą jest jedność*. (Omnis porro pulchritudinis forma unitas est.)

Do takich to już wyobrażeń o naturze i początku piękna ludzkość przyszła przeszło sto lat temu. Od tego czasu wielcy myśliciele wszystkich krajów, nie

(\*) Powinno być: 1683.

wyjawszy naszego, rozpowszechnili naukę piękna, zapoznali nas z historią jej rozwoju od czasów Hutchesona, i jedni po drugich badając zasady piękna i rozjaśniając je coraz bardziej, doszli, czego nie mógł jeszcze dowodnie wykazać Hutcheson, iż nietylko że uczucie piękna jest powszechne i bezpośrednie, ale że w umyśle ludzkim istnieje również bezpośrednia wiedza czyli idea piękna, bez której człowiek nie mógłby go ani uczyć, ani pokochać, kocha on bowiem to tylko co zna.

Ten rozwój filozoficzny piękna nie obchodzi zupełnie p. Viardot; pomija on wszelkie badanie filozoficzne, i zasady piękności z swego widzimisię wywiódłszy, twierdzi następnie że akademie są niepotrzebne, zachęty bezużyteczne, bo to wszystko, zamiast podnosić, zabija sztukę; i według przez siebie postawionej zasady ma zupełną słusność. Bo jakżeż akademia rozwijać może to, czego w istocie człowieka nie ma? po co opiekować się tem, co będąc pewną delikatnością sensacji i sądu, zdolnością niektórych, jako wyłączność i rzecz nabyta, samo sobie może i powinno torować drogę? po co mają istnieć towarzystwa zachęty, kiedy sztuka jest rzeczą zbyt kłopotliwą, a ludzie, ażeby dopełnić godnie swego posłannictwa, potrzebują tylko rozwijać poczucie dobrego, jako wrodzone i konieczne?

P. Viardot, chociaż miłośnik sztuki i rozpatrywaniu się w jej utworach życie poświęcił, nie dopatrywał się niestety, że idąc za jego zasadą, dzisiejsze społeczeństwo, chcąc być logicznym, musi się wrócić do praw Likurga: uznać sztukę za zabawę próżniaków i jako taką wypędzić z pomiędzy siebie. Przy takiej zasadzie, na co się przydadzą z takim zapalem cytowane przez autor fakta historyczne, na co uwielbienie dla Aten i Włoch, na co głęboka cześć dla artystów? „Ateny, mówi pan Viardot, zajaśniały jako najpiękniejszy kwiat umysłu ludzkiego; w Grecyi artyści rośli pod tchnieniem bożem, nie zaś w konserwatorskiej szklarni i t. d. i t. d. Jeżeli przeciwnie idea piękna, jak tego nam dowa-

dzą filozoficzne badania, jest również jak idea dobra wrodzona człowiekowi i leży zarodkiem w jego umyśle i sercu, nietylko że pielęgnowanie i kształcenie przyrodzonej władzy ducha okaże nam się potrzebnem i koniecznem, a ztąd obowiązkiem dla każdego człowieka, ale jeszcze pod światłem tej prawdy rozjaśni nam się dzieje, wykaże droga której na przyszłość trzymać się mamy. Zobaczymy że tam gdzie sztuka istniała i rozwijała się, tam przed nią istniał lud, co pielęgnował i rozżarzał w sobie uczucie piękna; że te Ateny, na które dzisiejszy świat zazdrosne zwraca spojrzenie, na rozwój sztuk nie przez poje-

nie miała w zabiegach materyalnych, jedynie pożytek mających na celu; w czasach chrześcijańskich, lubo każda istota myśląca i czująca należy do ludu, a podziału pracy na duchową i materyalną, tak jak niegdyś, niema, na rozwój jednak sztuki ta tylko część ludu wpływa, w której żądze i potrzeby materyalne nie zagłuszyły potrzeb i praw ducha, i to wtedy jeszcze, kiedy materyalnie wzrosłszy do imponującej liczby, rozwojem własnego ducha na rozwój sztuki oddziaływać może.

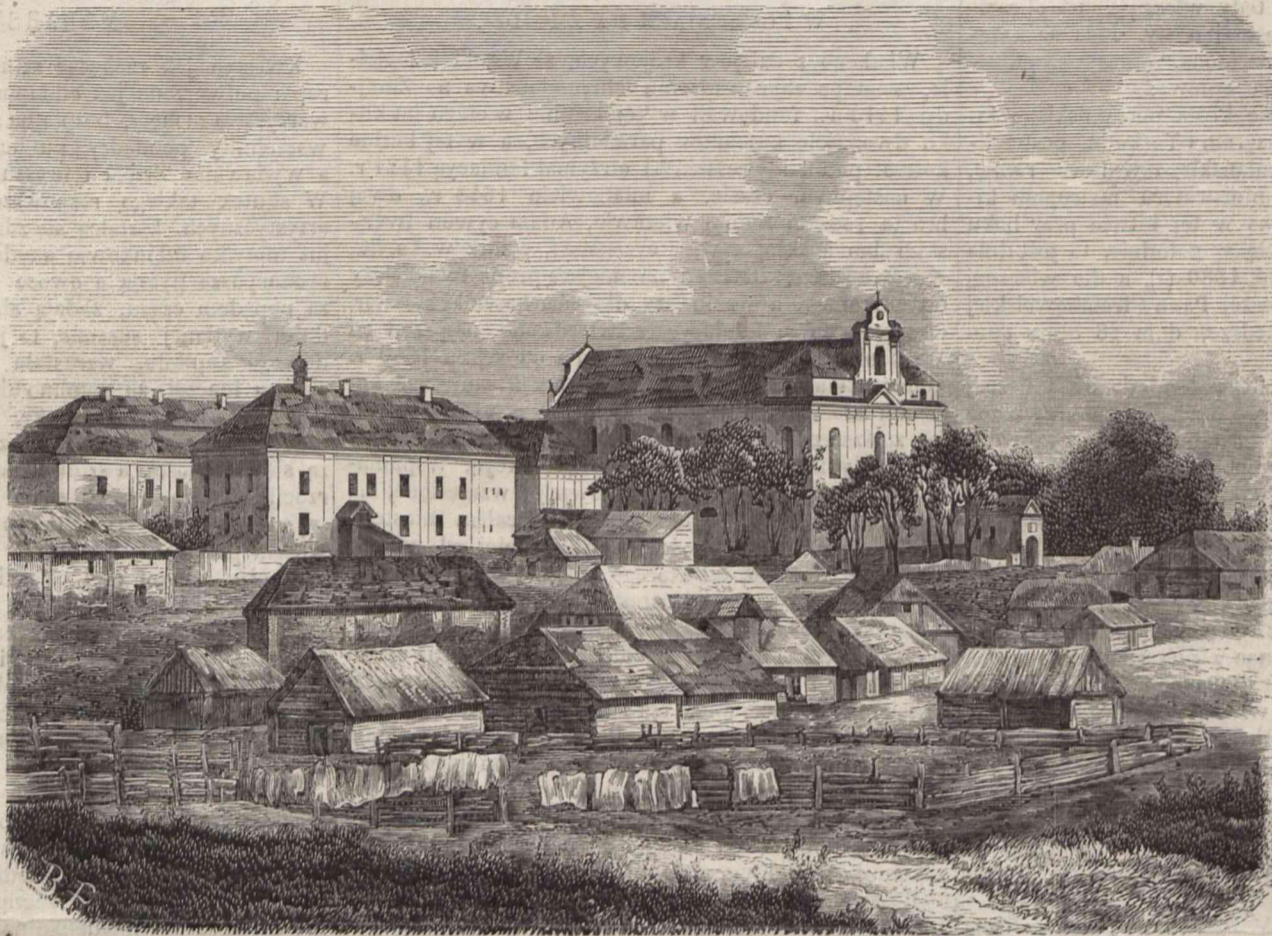
Towarzystwo zachęty, to rzeczpospolita artystyczna, mogąca istnieć tylko tam, gdzie jest możność połączenia

zapala młodości z dojrzałością męża. Akcyonaryusze, to ów lud ateński, co z uniesieniem nietylko ofiarę pieniężną, ale i gorące uczucie piękna dla dobra publicznego niesie. Komitet, to areopag z łona jego wybrany, sędzia surowy i sprawiedliwy, bogaty doświadczeniem naukowym. Tak pojęte i na takich zasadach utworzone towarzystwa zachęty, nie zniżą sztuki do stanowiska rzemiosła chlebobodajnego, nie rozmnożą mierności, jak to się stało tu i owdzie, co też słusnie trwoży i porusza najznakomitsze umysły, — ale nieodzwrotnie przyczynią się do jej rozwoju, również jak do uzaczenia i podniesienia społeczeństwa.

U nas pierwsze kroki uczynione na tej drodze, to jest otwarcie wystawy i założenie Towarzystwa zachęty, jak wszystkie pierwsze a szczerze usiłowania ogółu, strzeżone łaską bożą, nie zminęły się z celem;

dosyć przejść się po salach wystawy, ażeby zobaczyć jak zachęta korzystnie na rozwój sztuki wpłynęła, jak wzrosła i zmęźniała ręką ogółu pielęgnowana płonka. Ale to pierwsze powodzenie, powtarzamy raz jeszcze, raczej łasce bożej, niż własnej zasłudze przypisać należy; spuścił się ku nam gość zaziemski, sztuka, nie spłoszył go lekkomyślnością lub interesem materyalnym. Zdaniem naszym, pierwszą nagrodą, pierwszym zaszczytem jaki może spotkać artystę, jest przyjęcie obrazu jego na wystawę; honor to już wielki

(Ob. Dod.)



KOŚCIÓŁ KS. DOMINIKANÓW W ROSSIENIACH NA ŻMUJDZI. (Rysował podług fotografii Podbielski).

**Zadanie konikowe.**

|      |         |        |      |       |       |      |         |
|------|---------|--------|------|-------|-------|------|---------|
| ku-  | swém    | w nu-  | ra-  | się   | to    | by-  | tém     |
| ciem | bia-    | szy-   | Bo   | tach  | prze- | raz  | zwy-    |
| włó- | je,     | I      | śla- | skła- | je.   | po-  | wa.     |
| ne   | z trze- | knem   | mo-  | swych | na-   | czaj | te-     |
| lud  | że,     | przod- | da   | du-   | je    | Dru- | wa      |
| sze  | skrzęt- | kto    | to   | ków   | I     | ko   | od      |
| Więc | o-      | sia-   | lu   | dzia- | wa.   | By-  | gie     |
| nie  | Piérw-  | da;    | kry- | ne,   | w po- | pra- | Wszyst- |

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 90.

Białe.

Czarne.

- 1) B 2 — B 8 . . . . . gdziekolwiek.
- 2) A 4 — G 7 biorą ♠ i mat.

Gdy czarne poruszają się pionem H 7, to wieża bierze go i mat.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 116.

To nie sztuka zabić kruką, ale sztuka złapać go.

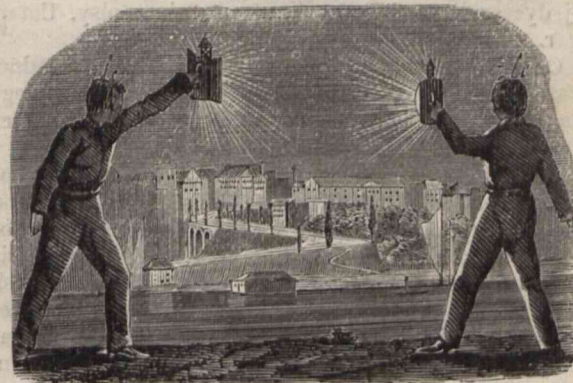
dyncze i wybrane indywidua, to jest tak nazwanych znawców i ludzi *gustu*, ale całemi massami wolnej swjej ludności wpływały; że w Grecyi artyści dobijali się najwyższego, najbardziej podnoszącego duszę człowieka uznania, bo uznania ogółu. Ogół nie był na sztukę obojętny, ogół zachęcał i nagradzał, a głos ludu stawał się głosem Boga, i na wzór swego Stwórcy wywoływał dzieła doskonałe. We Włoszech, tej Grecyi nowożytniej, sztuka rozwijała się wtedy, kiedy lud tryskał życiem i czynem, kiedy duch jego wyzwolony z więzów ciemnoty, do poczucia swjej godności przychodził. Toż gdy duch w nim zamiera, na próżno papież i monarchowie ówczesni szafują nagrodami; Włochy zaprzątione zdobyciem chleba powszedniego, Włochy gonione za pożytkiem, nawet na naśladownictwo wielkich mistrzów zdobyć się nie mogą.

Przy pojęciu filozoficznem zasady piękna i dziejów, zobaczymy również nie to co uważa pan Viardot, że zachęta gubi sztukę, ale że zachęta nietylko uczucie obywatelskie, ale uczucie estetyczne kierować powinno; że tu, bardziej jak na innem stanowisku, człowiek powołany na wysokie dostojenie kierownika, obejść się bez historycznego i estetycznego wykształcenia nie może, bo tu trzeba nietylko odgadnąć każdy rodzaj talent, ale zachować nadzwyczajną subtelność w stopniowaniu nagród, żeby współzawodnictwo nie ustawało nigdy.

Towarzystwo zachęty nie może nic dawać za darmo i nic z góry. Ateńczykowie rozdawali wieniec, obsypywali oklaskami na igrzyskach olimpijskich, wieniczyli publicznie swych artystów, opiekowali się ich rodzinami, ale do tych wszystkich zaszczytów i nagród wiodła ścieżka ciernista pracy i zasługi.

Lud florencki obraz Cimabue prowadzi w tryumfie, przy radosnych okrzykach, z pracowni artysty do kościoła Santa Maria Novella; każde nowo pojawiające się dzieło artystyczne uważa za swą chlubę i szczęście, każde odsłonięcie znakomitego obrazu świętem narodowem czyni; ale z drugiej strony, jakież to wysilenie pracy, jakież zrzeczenie się wszystkiego dla sztuki ze strony artystów! Dziś wyraz lud szersze ma znaczenie; w Atenach przez lud rozumiano klasę wolną i oświeconą, która zgola żadnego udziału

**REBUS.**



(Dodatek).

i udzielony być tym tylko powinien, u których chociażby mała iskra talentu, połączyła się z sumienną pracą. Idzie następnie zakup, drugi stopień dostojności w hierarchii artystycznej; tu już subtelniej rzecz wziąć należy, bo chociaż niezaprzeczoną jest prawdą, że nie wszystkie talenty, zaraz na wstępie, przyszedłszy swej wielkości dają zadatek, że jedne wschodzą powoli, drugie ukazują się szybko, jak południowe słońce powodzią światła wzrok olśniewając, a jedne jak drugie równym prawem do zachęty i płynącego zład korzyści przypuszczone być powinny; niemniej jednak w wyborze obrazów do zakupu pilnować się należy ściśle zasady estetycznej. Obraz pozbawiony myśli wyższej, chociażby efektowny, z talentem i biegłością, ale z wyraźną tendencją przypodobania się gustowi przemijającemu namalowany, nie podaje się do zakupu; nie podają się także i obrazy z myślą wyższą, ale nazbyt nieudolnie wykonane, bo w jednych należy skarcić ubieganie się za błyskotliwą i przemijającą wziętością, za trafiając w gust czasu, sprzeczny często z zasadami sztuki; w drugich uprzedzeniem nie zachęcać do wybierania przedmiotów przekraczających stopień technicznego uzdolnienia artysty.

Wzgląd tu szczególnie mieć należy na rodzaje się talenta, zachęcać je i wspierać, boć te co pełni swój dobiegły, co się rozwinęły i błyszczą już drugim jak przewodniki, nie zachęty, lecz uznania i uczczenia potrzebują; dla nich hold ogółu, dla nich miejsce w areopagu artystycznym i inne tym podobne honory. Ich dzieła znakomitsze zakupywane być winny na własność towarzystwa, ku nauce młodszych, dla oznaczenia potomnym drogi, kędy szedł geniusz narodowej sztuki. Akcyonaryusze będą mieć reprodukcje tych dzieł znakomitych i chętnie na tym poprzestaną, a w młodszym pokoleniu artystów obecność tych dzieł na wystawie obudzać będzie szlachetne współzawodnictwo.

Opuszciliśmy tu niemało szczegółów, pominieli wiele delikatnych odcieni tej kwestyi, te bowiem zwykle rozstrzyga doświadczenie, naznaczają okoliczności. Z zasadą Towarzystwa zachęty rzecz się ma tak, jak z każdą inną zasadą: życie ją rozwija.

Kierunek taki nie znajdzie w naszym społeczeństwie oporu, bo ogół u nas dziwnie łatwo przejmuje się wyższemu uczuciu, dostraja harmonijnie do podanego tonu. Z jakim to uszanowaniem i cichością liczne grono zwiedzające obecnie wystawę, przechadza się po świątyni ręką swą zbudowaną; jak tam każdy czuje obecność geniusza piękna, i chociaż losowanie się zbliża, nikt nie myśli o sobie i materyalnej korzyści wygrań, każdy zręka się chętnie osobistej uciechy dla dobra ogółu, bo chociaż nie wygra najlepszego obrazu z wystawy, to za to może w niedługim czasie ucieszy swego ducha widokiem arcydzieła, które jego starania wywołają z przyszłości.

Wypowiedziawszy nasze zdanie dotyczące się zasady Towarzystwa zachęty, przechodzimy z kolei do przejrzenia obrazów znajdujących się obecnie na wystawie i na tę wędrowkę artystyczną zapraszamy z sobą czytelników.

Wychowanie Zygmunta Augusta p. J. Simmlera, jest w rodzaju historycznym najznakomitszym obrazem wystawy. W jednej ze starożytnych komnat dawnego zamku królewskiego, rozgościły się obce obyczaje, sprzeczne widocznie z jej architektoniczną powagą. Na przodzie siedzi królowa Bona, z wdziękiem i artystyczną zalotnością, połączoną z powagą wysokiego dostojności, i odbiera sprawozdanie z jakiejś w tajemnicy chowanej sprawy. Powiernik Włoch stanął za krzesłem, pochylił się ku swęj pani i wskazując na pismo, domawia coś z cicha; a znać że zarówno sprawa jak i sprawozdawca miłe w tej chwili na królowę czynią wrażenie, bo na jej dumnym i zamysłonym obliczu igra zadowolenie, na ustach błąka się jakby zaczątek uśmiechu, zadatek łaski mającej uszczęśliwić dworaka. W pewnym oddaleniu od królowej, przy drugiej ścianie komnaty, przystrojonej już stosownie do nowych obyczajów, inna, choć nieobca duchem, odgrywa się scena; tam królewicz Zygmunt zasiadł pomiędzy fraucymerem królowej, śliczne kobiety otoczyły go dokoła; to przyszedł król i władca, a one damy królowej, zrodzonej na dworze książęcym Włoch, wskrósł przesiąkłe tamiecznemi obyczajami. Więc też wszystkie otoczyły przyszłego pana, a każda nęci i wabi go ku sobie, każda mówi: czy widzisz jaka ja piękna, czy przeczuwasz ile to szczęścia, roskoszy w miłości?

Kształcenie młodzieńca odbywa się z zapalem i przy zupełnej zgodzie wszystkich osób; łaska królewicza jeszcze daleko, przesłania ją obłok niepewności; więc też ani jedno spojrzenie zawistne nie psuje harmonii uśmiechów i spojrzeń. Jedna z dziewczyn, brunetka, przesłiczny typ włoski, gra i śpiewa, dru-

ga oparła się o poręcz jego krzesła, trzecia wyprostowała majestatycznie wspaniałą swą kibić, a z po za jej ramienia wygląda znów inna, z innym wdziękiem twarzyczka; u stóp przyklekła z niewypowiedzianym wdziękiem ostatnia, zbierając rozproszone na dywanie kwiaty, i lekko spłoszona, ogląda się na ukazującego się we drzwiach króla, prowadzonego przez hetmana Tarnowskiego. Wśród tego grona tak harmonijnie w jeden ton ustrojonego, sam tylko królewicz pozostał obojętnym; młodzieniec nie wie co się z nim dzieje i przysłuchując się śpiewowi Włoski, zdaje się pytać samego siebie: miłe to jest, ale dlaczego? Obraz cały podzielony na trzy sceny, zlewa się jednak doskonale w całość; od pierwszego rzutu oka widzisz rzecz jasno, wrażenie jakiego doznajesz nie majaczy ci w umyśle, nie drga niepewnością w sercu; widzisz przewagę tej pamiętnej w dziejach królowej, czujesz jak na tę pełną prostoty i szlachetności przeszłość, blichtr cudzoziemski napływa, jak kroczy ku tobie duch nowy, a chociaż on taki wdzięczny, taki roskoszy, strach cię przejmuje, a dusza wydziera się mimowolnie ku tym postaciom w głębi stojącym, półcieniem osłoniętym, stróżów tradycyi rodzinnej i narodowej, jakby szukając zaspokojenia. Pan Simmler przedmiot swój pojął głęboko, rozważył wszechstronnie; to też przedewszystkiem uderza on nas prawdą i naturalnością, podwyższoną wdziękiem, przepromienioną uczuciem. Surowe i szlachetne postacie króla i Tarnowskiego nie wyrażają ani zgrozy, ani oburzenia, ale raczej troskę, w uczuciu źródło biorącą. Przedmiot nie na tym nie stracił, przewaga bowiem uczucia zgadza się z charakterem monarchy, dla swęj powagi Starym nazwanego, i nie jest przeciwną charakterowi Tarnowskiego, łączącemu energią z dobrocią. Najmniej zadowalniającą figurą w całym obrazie jest młody Zygmunt August. Figura ta nie uderza nas wprawdzie jak ton fałszywy w strojnym akordzie, nie razi dysharmonią, ale mając się do całości obojętnie, nie podnosi jej znaczenia. Zygmunt August, jakeśmy to już w opisie wspomnieli, wydaje się zadumany i jakby dochodzący przyczyny doznawanego wrażenia, co jest niemożliwem w młodzieńcu pod palącym wzrokiem kobiet, a cóż dopiero w synu i wychowawcu Bony. Zgadza się chętnie z artystą, że Zygmunt nie przedstawiał świadomym i doświadczonym roskosznikiem, boć nie mógł być nim ten, który później wznosi się do czułej dla Barbary miłości, ten co śmiało opiera się niesłusznym wymaganiom narodu i fantastycznym pojęciom swęgo wieku. Głęboki namysł który widzimy w młodzieńcu, przystaje do przedstawionej chwili; ale świadomy czy nieświadomy młodzieniec, a tém bardziej nawet nieświadomy, uległby koniecznie elektrycznemu wpływowi spojrzeń, głosu, muzyki i podzielił mimowolnie, chociaż niewinnie, tę wykwintnie zmysłową ucztę życia. Namysł przyszedłby później, po usunięciu się obrazu, po przycichnięciu dźwięków. W przedstawieniu tej sceny p. Simmler rozwinął przed oczyma naszymi całe bogactwo roskoszy światowych, te wszystkie kobiety tak są artystycznie piękne, ich stroje, chociaż z tradycją historyczną zgodne, tak kunsztownie ku podniesieniu przyrodzonych wdzięków użyte, ton lokalny taki świetny a łagodny, półcień taki tajemniczy, atmosfera tak roskoszna, że przy dłuższemu wpatrywaniu się w obraz, widz mimowolnie oczarowany jest jego urokiem. Części technicznej obrazu nie zgoda nie mamy do zarzucenia: natura tu żywcem na uczynku schwytna, każdy szczegół sumiennie zbadany, koloryt świeży, wesoły, roskoszy, jak niewidzialny duch ożywiający to grono młodych dziewczyn niemysłujących o jutrze. W obrazie tym artysta pokazał inną, ale niemniej wysoką stronę swęgo talentu; liryzm którym się dotąd odznaczał, nie wchodzi tu zgoda. Jest to jedna z tych chwil przelotnych, w których wyobraźnia gra główną rolę, ale przeto niemniej trudna, a z powodu wybornego oddania, również zaszczyt jak poprzednia twórcy swemu przyznająca.

(O innych obrazach znajdujących się na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, pomówimy w czasie późniejszym.)

## ŁOBODA I NALEWAJKO.

USTĘP Z DZIEJÓW

przez

AUGUSTA BIEŁOWSKIEGO (\*)

Kozactwo za wojen Stefana Batorego do łupieżenia w kraju sąsiednim nawykłe, oglądało się skrzętnie za tego rodzaju korzyściami. Liczba jego, jak na nie-

(\*) Artykuł ten, napisany pierwotnie dla jednego z pism czasowych galicyjskich, drukujemy z upoważnienia redakcyi tegoż pisma. (Przyp. redak. Tygod. Ilustr.)

szczęście, coraz więcej wzrastała, a nie wzięto pod dokładne rozpoznanie zasady ich organizacyi i jej następstw, i nie zajęto się dość wcześnie ściślem jej do organizmu całej ojczyzny zastosowaniem. W miarę jak się Kozacy poczuwali na siłach, rzucali się na coraz śmielsze przedsięwzięcia: najeżdżali i łupili sąsiednie kraje, częstokroć bez wiedzy króla i hetmanów, a przy sposobności nie wahali się też złupić jedno lub drugie miasto królewskie, lub majątek prywatny, ku czemu poddmuchy waśniącego się właśnie duchowieństwa nowych pobudek obficie dostarczały. Jeszcze za Batorego, na ścięcie Iwana Podkowy nie zwajając, wpadli powtórnie bez wiedzy króla do Turcyi, a gdy ten posłał do nich z ostatniem upomnieniem Głębockiego, oni posła zabili i wrzucili w Dniepr. Było to w sierpniu roku 1586. Stefan postanowił surowo ich ukarać, ale go śmierć zaskoczyła (1). Zuchwałej jeszcze poczynali sobie pod jego następcą.

### Zapaśnictwo.

Byli podówczas między Kozakami dwaj wodzowie przedniejsi: Archory Łoboda i Semen Nalewajko. Różna ich przeszłość, różny charakter obu, choć zawód i los jednaki. Służył oddawna Łoboda między kozactwem za porohami na Sieczy; Nalewajko, dość świeży między kozactwem przybysz, zostawał na Ukrainie poblizszej. Pierwszy wodza kozackiego Pelkę, który Siecz w surowej karności utrzymywał, zgładziwszy, (2) posiadał wielką wziętość u starynych Kozaków; drugi skupiał w około siebie czern młodą, tak z ludu jak i z szlachty uboższej złożoną, która bądź samym do hulackiego życia pociąganiem, bądź chętką zemsty za jakiegokolwiek urazy, bądź nakoniec obawą kary za zbrodnie i nadużycia powodowana, na Ukrainę zbiegła (3). O rodzic jego przechowała się dość szczegółowa wiadomość. Ojciec był husiatyński mieszczanin, jak powiada Piasecki (4). Z rzemiosła kuśnierza, puszczał się od czasu do czasu z Kozakami za morze, zład łupów niemało zebrawszy, urósł w zamożność i butę. Po różnych burdach w kraju, które mu płazem uchodziły, miał w końcu zajście jakies z Kalinowskim, a ten, popędliwością uniesiony, potłukł mu zebra i o śmierć go nagle przyprowadził. Z pozostałych jego trzech synów najstarszy, Damian, człowiek śmiały i nie bez zasług w naukach, był protopopem czyli dziekanem w Ostrogu; tam też na tej polaci co ku Zaslawiu się ciągnie, mieszkał syn drugi, najmłodszy, zarazem kusnierz i szynkarz. Średni pomiędzy nimi, Semen, zajmował się z razu takoz kuśnierstwem, ale wnet żywot spokojny wzgardziwszy, poszedł na Ukrainę, w Kozaki, i zaprawiał się do boju. Chłop piękny i okazały postawą, posiadał niepospolite zdolności, którym tylko wyższego moralnego ujęcia brakowało (5). Miłość kozactwa i swobód, lub gorliwość o wiarę nie była głównym bodźcem jego czynności. Kiedy Kosiński, hetman kozacki, sztandar obrony religii wiewsiwszy, pogroził Polsce, a szli na niego Ostrogscy, Nalewajko stanął pod ich chorągwią i walczył przeciw Kozakom. Po skończonej wyprawie i Kosińskiego zabiciu, był znowu między kozactwem, a biegłość jego w puszkarstwie i dar ujmowania sobie molojów, torowały mu drogę do przewodnictwa. Współbieganie o władzę wywoływało niekiedy silną między nim a Łobodą nienawiść, którą od czasu do czasu niebezpieczeństwo wspólne lub spólna korzyść ciszyła. Nie mając ani sił tych, ani tej wziętości co Łoboda, chciał go przewyższyć przedsięwzięciami. Na czele ochotników zebranych puścił się raz i drugi w kraje muzulmańskie, niszcząc je ogniem i mieczem; ztamtąd zwycięsko wróciwszy, czyhał na chwilę sposobną do wykonania swęj zemsty i niebawem ją upatrzył. Ciągnęła w roku 1594 najzłami kozackimi pobudzona horda tatarska przez Pokucie do Węgier. Biegli na przelaj ku góróm obaj hetmani koronni, Zamojski i

(1) Heidenstein Rer. Pol. XI. 326.

(2) Rafała Jęczyńskiego *Collectanea* ms. 627, str. 170. Anno 1596. Pelka supra Kosakorum militiam Praefectus, odium incurrit Lobodae, qui cum pertraxisset in suam partem Kosakos, Pelkam interemit atque timens Serenissimi Sigismundi vindicem gladium, contra regnum Poloniae insurrexit; i t. d. Porównaj str. 196: „post feralia fata Pelka.“

(3) Heidenstein Rer. Pol. X. 347. Non modo ex nobilitate, vel fortunis lapsi, vel proscripti, vel rei capitalis damnati, vel etiam inimicitias quas ulcisci vellent, sed promiscue servitia etiam rusticana ad illos confugerunt.

(4) Chron. str. 144. Jęczyński utrzymuje przeciwnie, że tak stary Nalewajko, jak i synowie jego mieszkali w Ostrogu, na przedmieściu zaslawskiem. Collect. ms. str. 202. Nakoniec Bielski Sobieszczańskiego mówi o Semenle Nalewajce: Był rodem powiadają z Kanięca. Kron. str. 281. Twierdzenie Piaseckiego ma za sobą najwięcej prawdopodobieństwa, albowiem Husiatyn właśnie do Kalimowskiego należał, a sam Semen w liście swoim do Zygmunta III skarży się, że mu Kalinowski grunt zabrał. Broel-Plater, Zbiór pamiętn. II 214.

(5) Była to osoba krasna, mąż k'temu nie lada, by to był na dobro obracał, co mu Bóg dał; do tego puszkarz zamieniony, powiada Bielski Sob. 281.

Żółkiewski, aby gwałt ten odeprzeć, a co tylko na koń wsiąść mogło, wszystko za nimi zdążyło. Naciągali tamże zdaleka i Kozacy pod swymi dowódcami. Gdy horda Tatarów pod Samborem przez wojsko koronne dognana, umknęła nocą do Węgier, chybiony cel wyprawy i posiłki były już niepotrzebne. Nalewajko, który z taborem swoim zaledwie ku Trębowlu podchodził, korzysta z oddalenia hufców koronnych i na Husiatyn uderza. Posłużyło Kalinowskiemu szczęście, że się w ręce jego nie dostał, lecz majątności jego okropnie ucierpiał: zamek husiatyński zdobyty został szturmem i wydany kozactwu na łup, a miasto spustoszone (6). Podobnychże bezprawiów począł się dopuszczać na Ukrainie Łoboda. Na zanesione skargi słał król surowe rozkazy do kozactwa, aby się do dom rozeszło, ale niewiele na nie zważano.

*Nalewajko idzie do Węgier; pustoszy Wołyn i Litwę.*

Kiedy z jednej wyprawy do Turcyi Nalewajko ze zdobyczą powracał, zabiegłi mu w drodze Wołosi i łupy odebrali; wkrótce więc porozumiewszy się z Łobodą, szedł pod jego sztandarem jako porucznik i Wołoszczyznę pustoszył (7). Już wtedy poczynali Kozacy bez wiedzy króla porozumiewać się nawet z obcymi książętami, i otrzymali chorągwie, buławy, trąby srebrzyste i tym podobne upominki od cesarza Rudolfa II., od arcyksięcia Maksymiliana i od Zygmunta Batorego, księcia siedmiogrodzkiego. Nie szczędzono ze strony tych książąt i pieniędzy, byle Kozacy częstemi do Turcyi napadami zdradzili cierpliwość pohańców i Polskę w wojnę wplątali. Ich darami ujęty, szedł Nalewajko z swoim taborem roku 1595 przez Karpaty do Siedmiogrodu i wraz z Siedmiogrodzanami wojował Turków pod Tehinią, Białogrodem i Kilią. Przemknął się potem w sile około dwu tysięcy jazdy ku Węgrom (8), do samego arcyksięcia Maksymiliana, gdzie dawszy się we znaki okolicznym mieszkańcom drapieżnością swojej drużyny, wracał niebawem ku domowi. Z gór od Munkacza spuściwszy się, przeszedł dość skromnie około Sambora i Lwowa, ale Łuck, pod który przybył w sam jarmark i w czasie roków sądowych, musiał mu się okupić. Gorzej było ze Sluckiem, dzierzbanym podówczas przez Hieronima Chodkiewicza, kasztelana wileńskiego. Nalewajko zdobył szturmem zamek, zabrał z niego działa, broń ręczną i amunicję, miastu zaś kazał sobie zapłacić pięć tysięcy kóp groszy litewskich (9). Oddział jakiś posłał do Kopyła na leże, gdzie się bez bojki nie obeszło; niebawem ciągnął do Bobrujska (10) i Mohilewa litewskiego, również sobie po nieprzyjacielsku poczynając, a ufny w zgromadzone dostatki i powodzeniami odurzony, kazał aby go zwano: car Natywjaj (11). Mniemali niektórzy że do takowego postępowania podbechtany był od nieprzyjawnego Polsce Maksymiliana (12).

Mohilew, miasto królewskie, handlowne i dość obronne, zamknęło przed nim swe bramy, przypościł więc szturm i zdobył je, nasiekłszy niemalo mieszkańców. Tymczasem nadciągnął Krzysztof Radziwiłł, hetman litewski, z zebraniem naprędce wojskiem. Nie mogąc go wyparować z miasta, gdy przeraźliwe zimna długo oblegać go tam nie dozwalały, podpalił ze wszystkich stron przedmieścia i Nalewajkę do ustąpienia przymusił. Przerznął się on zbrojną ręką przez wojsko litewskie, wyrządziwszy szkody w Mohilewie i okolicy na kilkakroć sto tysięcy (5), i postępował w wielkim porządku. Tabor jego obfitywał w łupy wszelkiego rodzaju, w amunicję i broń: samych dział prowadził z sobą do dwudziestu, a przy każdym z nich szedł puszkarz na łańcuchu przykuty.

*Podaje królowi projekt ukrócenia swywoli kozackiej.*

Po wyjściu z Mohilewa, zachwiał się chwilę w swoich zamysłach. Zebrane naprędce przez hetmana litewskiego wojsko wcale mu straszne nie było; z utarczki z nim stoczonyj wyszedł on nawet zwycięsko (14); ale zaszła inna, nieprzyjemna mu okoliczność. Wódz Kozaków nizowych, Łoboda, pamiętny na bezprawia niektóre przez siebie popełnione, wahał się rozpuszczać swoje wojsko, a nie mogąc je wszystkie na Ukrainie wyżywić, rozdzielił na dwie części: z jedną pozostał sam w województwie kijowskim, mając przy sobie pułkownika Saska, wiernego swego doradcę; drugą z Mafiejem Sawulą posłał na Litwę. Nie lubił

ich Nalewajko i ile tylko mógł, stronił od nich: skoro tedy dowiedział się, że Sawuła do Litwy nadciąga, zawrócił sam ku Wołyniowi (15). Było to w miesiącu styczniu, roku 1596. Jakby jakieś przeczucie złowrogie poczyniło nim trwożyć. Stanąwszy więc w miasteczku Rzeczyca, napisał do króla Zygmunta III list, w którym starał się uniewinnić tak z dawniejszych jak i z najświeższych swoich postępów. O Kalinowskim spomniął że miał słuszną przyczynę mścić się na nim za ojca, a ponieważ mu się zemsta według zamysłu jego nie powiodła, zdaje więc krzywdę swoją na Pana Boga i króla, i nawet gruntu swego, który Kalinowski mu zabrał, upominać się już u niego nie będzie. O wyprawie swojej do Siedmiogrodu i Węgier powiada, że ją „na wezwanie chrześciańskich panów robić zgodził się nam, jako ludziami rycerskim.“ O okupie wziętym od miasta i szlachty w Łucku nic nie wspomina, a skarży się, że do Słucka i Mohilewa wejść wzbraniał mu, że wpuścił go tam pan Bóg. Kończy zaś list prośbą, aby król raczył mu uczynić sprawiedliwość z tych panów, którzy wejściu jego na Litwę sprzeciwiali się i byli przyczyną rozlania niewinnej krwi (16).

Do listu tego dołączył i projekt przez siebie wyrobiony, jakim sposobem powściągnąć swywolę Kozaków. Projekt wielce ciekawy. Uważa w nim najprzód, że dawniej hetmanów różnych, na kilka części rozrwanych na Ukrainie nie było; że odkąd to między kozactwem jest, dzieją się w państwach Korony i Litwy większe szkody od nich, niż od nieprzyjaciela, z kąd i utrata skarbowi wynika, i wielka niestawa spada na Rzeczpospolitą i króla. Podejmuje się on tedy wydać bitwę Kozakom, znieść ich i w niwecz obrócić; znaczniejszych jeńców odesłać królowi; wszystkim innym obrzynać będzie nosy i uszy, do wojska swego ich nie przyjmując. Prosi aby mu król nadał pustynię z jednej strony między Bohem a Dniestrem, z drugiej między Tehinią a Oczakowem nad rzeką Szenosod rozciągającą się, a 20 mil od Braclawia oddaloną, gdzie, jak powiada, od stworzenia świata nikt nigdy nie mieszkał. Tam na samym szlaku tatarskim założy on miasto i zamek i mieszkać będzie ze swoimi Kozakami. Za porohami nie ma być odtąd hetmana, lecz Kozacy tamtejsi będą mieli tylko porucznika nad sobą, a ten jemu ma być uległy. Prócz zaporozkich stacyjnych Kozaków, wszystkim tym, którzyby z nimi łączyć się chcieli, mianowicie pańskim, szlacheckim, kniaźskim pacholkom, będzie uszy obrzynać; żadnych banitów i od czci odsądzonych, bez wiadomości i listów królewskich, nietylko nie przyjmować do wojska, ale owszem chwycić ich i królowi lub starostom ukraińnym odsyłać. Jeżeli król i miłośnicy senatorowie przychylią się do tego projektu, raczą wyznaczyć lenik roczny na 2000 starych Kozaków jego, lub też dawać im roczne podarunki, jakie dają Tatarom. Zdaje wreszcie bliższe oznaczenie tego na wolę królewską, byle tylko zaopatrywać Kozaków jego corocznie suknam i jakowymś datkiem pieniężnym. Za to przyrzeka stawić się z nimi zbrojnie na każde zawołanie króla i hetmanów obojga państwa, tak przeciw nieprzyjacielowi św. krzyża, jak i przeciw kniaziowi wielkiemu moskiewskiemu, dostarczać kosztem swoim tureckich i tatarskich języków, starać się mieć wczesne wiadomości o zamysłach i ruchach nieprzyjacielskich, i czem się dotąd Polsce nikt nie przystugiwał, chcełożyć nakład na to, iżby Rzeczpospolita miała dostateczną liczbę szpiegów i kałauzów czyli przewodników wszelkiego rodzaju (17).

Wiózł ten list wraz z projektem do Warszawy niejaki Nieszkowski, szlachcic litewski, rodem z pod Wołkowysk, królewski komornik. Blizkie jego z Nalewajką stosunki ściągnęły nań podejrzenie w Warszawie, wzięto go więc do więzienia i rozpoczęto z nim śledztwo. Okazało się z jego zeznań, że jeździł do Kozaków ze zmyślonemi królewskimi listami i odbierał od nich podarunki; skazano go tedy na gardło i ścięto (18). Jak dalece zaś projekt wyniszczenia Kozaków lub obrzynywania uszu tym, którzyby się do nich udawali, obcy był charakterowi narodowemu i polityce Polski, widać to z rozkazu królewskiego, przesłanego niezwłocznie do koronnych hetmanów, iżby Nalewajkę schwytać starali się.

*Sprawy wołoskie. Żółkiewski znosi przednie strażę Nalewajki.*

Nie wytchnęli oni jeszcze po zapasach multzańskich, które wielkodusznie rozpoczęwszy, z chlubą dla oręża polskiego dokonali. Aron, gospodar multzański, i przez papieża i przez niektórych książąt chrześciań-

skich do wojny z Turcyą zachęcany, gdy się około wylamania z pod jarzma muzułmańskiego zaprzęta, zdradza go jeden z wodzów jego, niejaki Rozwan, po matce Wołoch, Cygan po ojcu. Zakutego w kajdany Arona odsyła wraz z żoną i dziećmi do Siedmiogrodu, sam skarby jego zabiera, ogromne summy na polskich i innych kupcach wymęcza, stronników Arona jednych zabija, drugim obcina nosy i uszy, i kraj cały zmusza do uległości księciu siedmiogrodzkiemu. Był nim Zygmunt Batory, wbity w pychę przez spowinowacenie się z domem rakuskim i Polsce nieprzyjazny. Tymczasem spieszą na zagarnięcie Multan z Wołoszczyzny z jednej strony Sinan pasza, który z wojskiem tureckim wtargnął już na Wołoszczyznę, z drugiej strony chan tatarski i Sędziak, zarazem jego siostrzeniec i szwagier; sułtan bowiem, rozgniewany sprzeniewierzeniem Arona, darował im tę ziemię, aby się nią rozdzielili. Wielkie groziło niebezpieczeństwo Polsce, gdyby się Muzułmanie w ziemiach tych usadowili. Aby je odwrócić, hetmanowie polscy wkraczają do Multan, Sinan paszę w dalszym pochodzie wstrzymują, Jeremiey Mohiłę z ramienia króla polskiego na gospodarstwie multzańskim sadzają, i staczając korzystne walki z chanem tatarskim i Sędziakiem, zmuszają ich do zrzeczenia się Multan i uznania gospodarzem Mohiły. Zaledwie atoli ustąpili Tatarzy, nadciąga z licznem i dobrze uzbrojonym wojskiem Rozwan, mianowany gospodarzem multzańskim od Batorego. Zostawione przy Mohile nieliczne hufce polskie pod dowództwem Jana Potockiego, staczają z nim pod Jassami walną bitwę, znoszą wojska jego ze szczętem i ogromne łupy zabierają. Sam Rozwan, w ucieczce schwytyany i wydany w ręce Mohiły, tureckim i włoskim zwyczajem ginie na palu.

Gdy tedy część wojsk koronnych była jeszcze w Multanach, Żółkiewski otrzymuje rozkaz od króla i Zamojskiego, aby Nalewajkę schwytał i rozruchy kozackie usmierzył. Było to w miesiącu lutym roku 1596. Hetman polny wskazał natychmiast do odleglejszych chorągwi, aby za nim pośpieszały, sam zaś, nie mając więcej nad tysiąc jazdy przy sobie, puścił się ku Krzemieńcowi. W Hrycowie, 13 mil od Krzemieńca, dowiedział się że Nalewajko jest w Łabuniu, biegł więc tam dniem i nocą. Jąkoż Nalewajko, który zamierzał z razu iść do Łucka, gdy go doszły słuchy, że wojsko polskie zbiera się, zmienił zamiar i zwrócił się ku Braclawowi. Nie spieszył się jednak, bo wiedział że chorągwie polskie, po różnych miejscach rozproszone, nie łatwo zebrać się potrafią. Tymczasem kupiła się zewsząd w około niego coraz liczniejsza zgraja sług zbiegłych od panów, chciwa łupów i mordów, niebezpieczeństwo więc z każdą chwilą wzrastało. W Łabuniu miał Nalewajko zabawić kilka dni. Wtém dnia 28 lutego, gdy się najmniej tego spodziewa, spada hetman na przednią straż jego we wsi Macewicze, między Konstantynowem a Ostropolem. Było tam 300—500 Kozaków, którzy się gorzałką zalewali. Ujrzawszy przed sobą parlamentarza wzywającego ich do poddania się, rzucili się nań i omal go nie zabili. Gdy spostrzegli że są już otoczeni, bronili się długo najprzód z chat wiejskich, potem z dworu, aż ich ogniem podkurzono. Zmuszeni tym sposobem do wystąpienia w polu otwartem, częścią padli od oręża, częścią zabrani w niewolę; dwóch tylko ratowało się ucieczką (19). Zdobyto na nich cztery chorągwie.

Powziąwszy o tém wiadomość, Nalewajko jął uciekać tak nagle, że zapomniał ściągnąć straż bocznią, około 200 Kozaków, rozłożonych pod wsią Czerniawą. Nie wiedząc nic o odwróceniu wodza swojego, stali tak nieostrożnie, że nie postrzegli nawet jak hufce polskie podstąpiły i uszykowały się pod ich bokiem. Trzysta tedy jazdy, którą hetman przeciw Kozakom tym wysłał, parło ich z przodu i niewielki jej opór stawiło: gdy się atoli cofnęli do wsi, uderzyli na nich z tyłu wiesniacy, mszcząc się za rabunki od nich doznane, i wybili tak, że ledwie tylko 12 ich uciekło z życiem do Lubaru.

*Nalewajko ucieka w stępy i łączy się z Łobodą.*

Hetman, chcąc nieco koniom wypocząć, nocował pod Ostropolem, ktorędy co tylko przemknął się z taborem swoim Nalewajko: nie spoczywał on nic, i ani ludziom, ani zaprzęgom nie dając się pokrzepić, umykał przez całą noc do Pikowa. Nazajutrz rano puścił się za nim hetman i stanął w Pikowie w parę godzin po jego wyjściu. Tu dowiedział się, że wódz kozacki bieży wprost do Braclawia. Miasto to i położeniem swoim i liczbą mieszkańców dość silne, niełatwe było do odebrania, w tój zwłaszcza porze roku, jak skoroby je Kozacy opłonowali. Liczyli oni tam

(6) Jacobi Pszonka Res memoriae dignae, ms. 60 str. 261.

(7) Słzi do Wołoch Kozacy, nad ktorými był hetman Łoboda i Nalewajko porucznikiem. Bielski Sob. str. 225.

(8) Heidenstein Rer. Pol. XI. str. 327.

(9) Bielski Sob. str. 254.

(10) Bielski Sob. tamże pisze Dobruszka, ale nazwisko to wiodocznie jest pomyłone u tego kronikarza.

(11) Carque Nelevay nominari jussit. Pszonka Res memor. dign. ms. 60 k. 261.

(12) Tenże k. 261 str. odwrotna.

(13) Heidenstein Rer. Pol. XI str. 327.

(14) Pszonka Res. memor. dignae ms. 60 k. 261.

(15) Heidenstein Rer. Pol. XI 327.

(16) Broel Plater Zbiór Pamiętn. II str. 214 i dalsze.

(17) Broel Plater Zbiór Pamiętn. II str. 218.

(18) Bielski Sob. str. 280. Por. hist. Nalewajki u Platara.

(19) Heidensteiu Rer. Pol. XI. 328.

wielu sobie przychylnych, i właśnie z Pikowa jeszcze pisał Nalewajko do nich, iżby w wierności dotrwali. Trzeba więc było albo zmusić go do skierowania pochodu swego w inną stronę, albo zająć przed nim jeszcze to miasto i samym widokiem wojska utrzymać je w posłuszeństwie. Zostawiwszy hetman wozy i wszelkie ciężary, pognął za Kozakami i dopędził ich w dąbrowie nad rzeką Olszańką. Słońce było już na zachodzie. Kozacy postępowali w wielkim porządku, nasi uderzyli śmiało na ich tabor i widoczne nad nimi odnosili korzyści. Pomimo że trzykrotnie rozpoczynali ogień z licznych dział, żadnej jednak w ludziach naszych szkody nie zrzadzili. Wtém nastąpiła noc. Korzystał z niej Nalewajko i nie ufając Braclawianom, od których odpowiedzi żadnej na listy swoje nie otrzymał, chociaż był już o dwie tylko mile od miasta, rzucił się w bok, i w dzikie pola poza rzeką Sob rozciągające się pociągnął. Nie mógł go tam ścigać hetman, nie mając przy sobie wozów i żywności; konnica jego mocno w pogoni ucierpiała, rozłożył ją więc po okolicznych wioskach, a puścił przed sobą głos, że idzie za nim na stopy. Jak tylko się to doniosło do Nalewajki, przeszedł on natychmiast przez Sine wody i ukrył się w lasach humańskich: cztery działa ciężkie zatopił w rzece, a kule i prochy zakopał, co wszystko nasi później wydostali. Tam tedy przez kilka tygodni ukryty, konie trawą a wojsko mięsem końskim żywił, przemyślując nad sposobami ratunku (20).

Puszczą i niedostatek wszelkiego rodzaju przykre sprawiał na jego wojsku wrażenie; on sam zwątpił już o swoim losie, począł więc przez Jerzego Strusia, starostę braclawskiego, badać, azałoby nie mógł za pośrednictwem hetmana przebaczenie i łaskę królewską uzyskać. Odpowiedź nie ze wszystkiemi pomysłami, skłoniła go do pojednania się z Łobodą. Przewidywał to hetman i starał się temu zapobiedz, ale daremnie.

Właśnie jeszcze Żółkiewski uganiał się za Nalewajką, kiedy Łoboda, wybrawszy do 700 co najęźszych mołojców, puścił się do Baru, aby schwycić nienawistną sobie panią Oborską, która tam mieszkała, i okolicę złupić. W wycieczce tej, nie o Żółkiewskim nie wiedząc, mało nie wpadł w ręce hetmana: dopiero w Pohrebiszczach o bliskości wojska polskiego ostrzeżony, umknął co prędzej do Białejcerkwi, gdzie złączywszy się z Saskiem pułkownikiem i około 4000 Kozaków zgromadziwszy, naradzał z nimi co począć. Posłał do nich hetman, robiąc nadzieję uzyskania łaski królewskiej, i upominając iżby się z Nalewajką, który tyła zbrodniami skalał się, nie łączyli. Na radzie jednak przemogło zdanie głównie przez Saska popierane, iżby z Nalewajką się złączyć; częstkowy więc rokosz wzmógł się i dojrzał, przybrawszy charakter powszechnego kozackiego powstania. Zalatywały do uszu hetmana obelgi miotane od nich na króla, i zachwale przeciw Rzeczypospolitej pogroźki. Przebakowano o zburzeniu Krakowa i szlachty wytepieniu (21). Czerń rozjątrzona rzuciła się na posła, chcąc go ubić. Z trudnością tylko ocalił go Łoboda i odesłał bez odpowiedzi. Nie czuli się wszakże bezpiecznymi w Białejcerkwi ci, co tak śmiało z pogroźkami się odzywali, cofnęli się więc pod Kijów, dokąd właśnie i Sawuła z Litwy nadciągał.

#### *Junactwo Rożyńskiego.*

Dla rzucenia na nich większego postrachu i rozdwojenia ich sił, posłał hetman kniazia Rożyńskiego, właśnie podówczas przybyłego, aby w 500 jazdy i tyleż piechoty obsadził ojcyste miasto swoje, Pawołoczę. Przykazał on mu najmocniej, iżby tam stanowisko warowne, zewsząd wodami oblane zajmując, nie ważył się wyjść z niego bez dalszych jego rozkazów; sam zaś pozostał w Pikowie, dając wypoczynek hufcom strudzenym i na nadciągającą resztę hufców oczekując. Rożyński, dawnych kniazów litewskich potomek, pan szerokich na Ukrainie posiadłości, doznawał mnóstwa szkód od Kozaków, podobnie jak Ostrogscy, Wisniowiecy i inni tameczni właściciele, i srode był na nich obruszony. Zaraz więc za swoim tamże przybyciem schwytał kilkudziesięciu szkodników i surowo ich ukarał. Gdy się to do Kijowa doniosło, Kozacy, mniemając że ten kniaz tylko z nadwornymi chorągwiemi swemi w Pawołoczy zostaje, wysłali Saska w trzy tysiące wojska, aby go schwycił, lub przynajmniej dobra jego spustoszył. Sasko pomknął się do Chwastowa, sześć mil od Pawołoczy odległego, i zasięgał przez szpiegów bliższych o kniazia wiadomości. Uprowadził go Rożyński. Bez wiedzy hetmana, który był za daleko od niego, spada nocą do Trzylesia, gdzie stała przednia straż Saska

z 300 Kozaków złożona, podchwytuje ją i znosi. Przelękniony Sasko umknął z Chwastowa przed świtem jeszcze i do Kijowa powrócił. Rankiem był już Rożyński w Chwastowie, a nie zastawszy tam nikogo, szedł ztamtąd do Białejcerkwi, bądź że uważał za rzecz siebie niegodną, iżby zwyczajną będąc wracał w warowne stanowisko, bądź że chciał zimowem rozpołożeniem hufców nie uciążać swoich poddanych.

Żółkiewski o pochodzie Rożyńskiego ku Białejcerkwi uwiadomiony, chociaż z wojskiem swoim należycie nie wypoczął i chorągwi niektórych jeszcze nie ściągnął, lękając się wszakże, iżby kniaz samą liczbą kozactwa przemożony nie został, wyruszył z Pikowa i szedł za nim spiesznymi pochodami. W Kotelni spotyka przeora dominikanów kijowskich, wysłanego z listami od Saska i innych Kozaków do Rożyńskiego. W nich, po wzmiance o zasługach swoich które dla Rzeczypospolitej położyli i na przyszłość jeszcze położyć spodziewają się, zapytywali kniazia, czy to z rozkazu hetmana Żółkiewskiego tyłu braci ich ubił?

Listy te wysławszy, sami tymczasem składają radę walną i poruszają wszystkich sprężyn do zemszczenia się na Rożyńskim. Z lasów humańskich udał się był Nalewajko do Korsunia, aby zmniejszone i znędzniałe hufce swoje zaopatrzyć w żywność i wzmocnić nowemi zaciągami. Do niego posłali listy, wzywające iżby się z nimi połączył. Nie wszyscy jeszcze Kozacy byli do pochodu gotowi. Łoboda zbierał nowe zaciągi w Perejasławiu, inni to w Kaniowie, to w Czerkasach bawili. Z tém wszystkiemi, ponieważ się dowiedziano, że Rożyński nie ma przy sobie więcej nad tysiąc czelka, oni zaś, po złączeniu się z Nalewajką, przeszło ośm tysięcy liczyli, ruszyli więc ku Białejcerkwi na Rożyńskiego.

#### *Bój pod Białejcerkwią.*

Leży Białocerkiew nad rzeką Rosią. Okiem ówczesnym na nią pojrząwszy, była wszecz na dwa lub trzy strzelenia z łuku, wzdłuż na pół mili roztoczona. Naokoło miasta był wał, bo ilekroć Tatarzy czarnym szlakiem do Polski nadciągali, pierwsza w drodze stała im Białocerkiew. Mieszkańcy jej tedy za wałem owym, aczkolwiek niepokaznym, usadowieni, zwykle największe hordy odpierali. Zamek u szczytu góry nad miastem wznosił się, dalekie na wszystkie strony odślaniając widoki. Tu nadciągnęli Kozacy z Sawułą dnia 2 kwietnia o północy. Rożyński, nawykły bardziej gardzić nieprzyjacielem, niż mieć się przed nim na baczności, nie przypuszczał iżby Kozacy uderzyć na niego odważyli się; to też dowiedział się o nich wtedy dopiero, gdy już byli pod miastem. Najroztropniej byłby sobie postąpił, gdyby zamknął się w twierdzy i hetmana o nadciągnięciu Kozaków upewnił; atoli z jednej strony niespodzianka, jaką zrobili mu Kozacy, z drugiej wrodzona jego do walk ochota, myśli tej w nim nie dopuściła. Z całą zrzecznością wojenną postąpił sobie Nalewajko. Obozem z przodu stanawszy, obiegił miasto we 3000 przebrańszego żołnierza i uderzył w bramę tylną, którą mu przychylni mieszkańcy rychło otworzyli. Był on pewien, że nieostrożne wojsko polskie w śpiączki podchwyci i wytnie. Alic Rożyński był już za miastem. Wypadł on bramą boczną z ochoczym do boju żołnierzem, i gdy Nalewajko rzucił się w mieście po gospodach polskich za łupami, wódz nasz tymczasem uderza śmiało na tabor, w którym Sawuła dowodził. Noc była ciemna i nadzwyczaj burzliwa. Jedni drugich widzieć nie mogli. Rozniecone pochodnie i hasła trąb dawały niejakię skazówkę rozpoznania się. Wnet rozległ się huk dział i ręcznej broni i tuż spadły hufce nasze na Kozaków. Ci, zdziwieni i przerażeni nagłym napadem, nie mogąc przypuścić iżby to były drobne siły, które na nich tak odważnie natarły, podali tył, udając się drogą ku Kamieńcowi. Nasi, obóz zdobywszy, ścigali uciekających blisko ćwierć mili i nie mało położyli ich trupem. W mniemaniu że już zwycięstwo odnieśli, gdy do obozu wracają, alisci widzą z zadziwieniem, jak piechota nasza pod miastem uszykowana uciera się potężnie z nieprzyjacielem. Sawuła bowiem z jedną częścią Kozaków cofnął się był ku rzece Rudce, a jak tylko nasi wyszli z obozu, napowrót zajął go; Nalewajko też hukiem dział o bitwie ostrzeżony, opuścił miasto i z Sawułą złączył się. Wracając tedy z pogoni, nasze chorągwie uderzają powtórnie na Kozaków, doskwierających naszej piechocie, nie mało ich ubijają i odparłszy aż do obozu, wchodzą wraz z piechotą do miasta, gdzie wszystkie gospody złupione przez Kozaków zastają; jedna tylko, której 20 Węgrów na straży zostawionych do ostatka broniło, ocalała. Szczupłość swoich sił naprzeciw tak licznej nieprzyjaciela zważywszy teraz Rożyński, chociaż Kozacy uderzać nań nie śmieli, zawarł się w zamku, a do hetmana wysłał gońce.

Hetman w Trzylesiu, cztery mile od Białejcerkwi nocował. Z niecierpliwością wyglądał świtu, chociaż bowiem żadnej nie miał od Rożyńskiego wiadomości, daleki huk dział od czasu do czasu zasłyszany był mu dość jasną tego co się dzieje skazówką. Zwiąja więc obóz i rusza. W drodze przednia straż jego podchwytuje kilku Kozaków, co przez hufce Rożyńskiego w różne strony rozproszeni, za żywnością szukali; dowiedziawszy się od nich co zaszło, pochód tém bardziej przyspiesza. Był już tylko pół mili od Białejcerkwi, gdy odebrał list od Rożyńskiego, w którym go o posiłki upraszał. Piękna w tém miejscu rozciąga się około Białejcerkwi płaszczyna, gdzieniegdzie urozmaica ją dość wzniosły pagórek, z którego daleki na wszystkie strony widok się odślania. Kozacy, którzy właśnie w obozie swoim nad sposobami dobywania zamku naradzali się, skoro tylko hetmana nadciągającego postrzegli, czempredziej cofnęli się ku Trypolowi.

Wypadało z ich popłochu korzystać. Jakoż postanowił to u siebie hetman, nie bez ścisłego jednak wszystkich okoliczności rozważenia. Wiedział on, iż to są ludzie zrospaczeni, którzy nic do stracenia nie mając, na wszystko się odważą i bronić się będą do upadłego. Postępowali też w szyku bojowym, zwolna, niekiedy nawet się zatrzymując. Hufce ich były liczne, a 24 dział z przodu, po bokach i z tyłu rozstawionych, było w pogotowiu do skierowania ognia w każdą stronę. Siła którą wiodł hetman była wcale niewielka, miał bowiem tylko 1550 jazdy kwarcianej i kilkuset ochotników z Baru, Braclawia i Chmielnika. Z drugiej strony za niezwłocznem ściganiem nieprzyjaciela i stoczeniem z nim bitwy przemawiały nader ważne powody, a najpierw dobra sława wojska koronnego. Do jakiegoby stopnia urosła zachwłość ukraińskiej swywoli, jesliby zmiarkowano, że hufce koronne bitwy stoczyć nie śmia, i to z jedną tylko częścią kozackich sił, cóż dopiero gdy się wszystkie połączą i w mocnych swoich poza Dnieprem usadzą stanowiskach? Ścigać niezwłocznie kozactwo doradzał i ten wzgląd, że takowe i wczorajszym pochodem nagłym i walką nocną strudzone, bez pożywienia ustępowało. Nadewszystko zaś przemawiało za ściganiem to, że trwoga w ustępujących hufcach była widoczna, i dwaj Kozacy, co wobec patrzących się z obu stron zbiegli do naszego obozu, przyświadczali iż popłoch w ich obozie jest ogromny; ochota zaś do spotkania w hufcach naszych była tak wielka, że raz wraz cisnęli się do hetmana nie tylko rotmistrze, ale nawet i podrzędniejsi, prosząc iżby ich wiodł do boju. Wszystko to uwzględniwszy, hetman wypytał się dokładnie u świadomych o miejscowości płaszczyny były wciąż prawie aż do Trypola, a jakkolwiek tu owdzie nachodziły się strumienie lub bagna, nie stawały jednak w przebyciu trudności, bo je lody pokryły.

#### *Bitwa pod Ostrem Kamieniem.*

Puściły się więc nasze wojska za Kozakami. Przechodząc obozowiskiem kozackim, spotykały gęsto ciepłe jeszcze ich trupy, z czego było widoczna że choć w liczbie niewielkiej, mężnie jednak nasi walczyli. Sami też ponieśli straty dość znaczne, albowiem z 500 ich piechoty więcej niż 400 poległo, a we wszelkiej broni było rannych niemało. Przed zdaniem się na los bitwy, hetman zwrócił pilną baczność na obranie miejscowości. Blisko sześciu lub siedmiu godzin postępowano wojsko w szyku bojowym, ze wszystkich stron kozactwu zabiegając. Słońce skłaniało się już ku zachodowi, gdy oba obozy nad jezioro Ostry Kamień zwane nadciągnęły. Tu ustawił hetman hufce swoje tak, iżby im działa nieprzyjacielskie jaknajmniej szkodzić mogły, i dał hasło do boju. Uderzono na kozacki tabor ze wszech stron i niektóre rotty nasze aż do środka taboru dotarły. Kozacy bronili się potężnie; tak z licznych dział, jak i z ręcznej ich broni szedł ogień rześisty, i tém trudniej było ich pożyć, że się mocno obwarowali wozami. Ukryta pod nimi piechota kozacka, mocno naszych razila, a choć konie w zaprzęgach gęsto padały, spięte jednak łańcuchami otaborzenie niełatwo było rozerwać. Przemogła wszakże w końcu naszych waleczność i odnieśli zwycięstwo. Obaj wodzowie kozacy, Nalewajko i Sawuła, zostali ciężko ranni, a Sasko, główny ich doradca, ubity. Liczne były straty kozackie, razem bowiem pod Białocerkwią i u Ostrego Kamienia więcej niż półtrzecia tysiąca ich padło. Dotkliwie też były straty w wojsku hetmana, padło przeszło trzystu, a między niemi samychże towarzyszy do 60. Zginął waleczny rotmistrz Wiernek, zginęli Łaszcz, Dłuski, Palczowski

(20) Heidenstein XI, 328. por. Bielski Sob. 262.

(21) Pisma Żółkiewskiego, str. 151.